

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 26 I - 1 II 1989 R.

NR 2

CENA 50 ZŁ

PANEL „RELACJI”

CZY W POLSCE POTRZEBNI SĄ EKONOMIŚCI?

„ZBYT CZĘSTO POWAŻNE I UCZCIWE DYSKUSJE EKONOMICZNE ZASTĘPOWAŁ U NAS CHÓR WUJÓW SPIEWAJĄCYCH HYMNY WŁADZY...”

Redakcja rozpoczyna niniejszą dyskusję cykl, który nazwaliśmy — jak w nadtytule. Chcielibyśmy poruszać w nim najistotniejsze (tu i teraz) sprawy Polski i Polaków.

W dzisiejszym panelu udział biorą: mgr Henryk Dąbrowski, zastępca dyrektora Kombinatów Maszyn Rolniczych „Agromet” w Lublinie; dr Lesław Paga, ekonomista, pracownik naukowy Katołickiego Uniwersytetu Lubelskiego; dr Tadeusz Tuora, ekonomista, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, pełnomocnik Przedsiębiorstwa Polonijnego „Cormay” w Lublinie; dr Michał Zieliński, ekonomista, publicysta, pracownik naukowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Redakcję reprezentują: Waldemar Piasecki i Leszek Wiśniewski.

„Relacje”: — Darujemy sobie wstęp. Do rzeczy...

Tadeusz Tuora: — Ja bym się raczej zastanowił, czy pytanie panelu jest najszczęśliwsze. To tak, jak by się pytał, czy w Polsce potrzebni są lekarze, spawacze i sekretarki! Według mnie, powinno ono chyba brzmieć: „Dlaczego ekonomiści są w Polsce sfrustrowani?” Na takie pytanie jest jakaś odpowiedź.

Każdy człowiek wykonujący określony zawód posiada swoje ambicje profesjonalne. W naszym zawodzie i w naszej rzeczywistości problem polega na tym, że te ambicje nie mogą być realizowane. Dlaczego? Otóż ekonomiści są to ludzie zajmujący się, najogólniej mówiąc, problematyką pomnażania dobrobytu czy też pomnażania bogactwa narodu, społeczeństwa. Są to ludzie, którzy odpowiadają na pytanie — w przedsiębiorstwie czy na szczeblu centralnym — jak postępować, by gospodarka się rozwijała. Teoretycznie! W praktyce nasi ekonomiści nie mają większego wpływu na bieg wydarzeń.

Namiast wymaga się od nich, aby dorabiali uzasadnienia do decyzji już podjętych, a w publicystyce przekonywali, że są to rozwiązania jedynie słuszne. W przedsiębiorstwie sprowadza się ich rolę do prawidłowego księgowania, a ich wpływ na rzeczywiste decyzje ekonomiczne jest niewielki.

Można by powiedzieć, że ekonomista jest do pewnego stopnia człowiekiem

o rozdwojonej jaźni. Powstał żart, że ekonomista to człowiek potrafiący trzeźwo myśleć tylko po... pijanemu.

Czy więc ekonomiści są potrzebni? Ależ tak! Tam, gdzie mamy do czynienia z gospodarką, ekonomiści są potrzebni.

Lesław Paga: — Są tu dwa aspekty. Na świecie, gdy mówimy „ekonomista”, to mamy na myśli człowieka, który jest albo ekspertem, albo człowiekiem, który pomnaża bogactwo. Można by więc powiedzieć, że ekonomistami są generalnie ci, którym udaje się się bogacić, czyli w zasadzie wszyscy przedsiębiorczy, obrotni, zaradni. Jeżeli tak to rozumieć, to ja odpowiadam, że w Polsce ekonomistami powinni być wszyscy! Dobrze by było, aby wszyscy byli bogaci. Do dzisiaj było to jednak niemożliwe.

Mimo wszystko uważam, że ważniejsze niż samopoczucie ekonomistów, ich kondycja i przekonanie o użyteczności jest ekonomiczne myślenie Polaków. Czy Polacy to potrafią? Myślę, że tak! Mimo czterdziestu lat oduczenia od ekonomii i zasad ekonomicznych. To, że ludzie wchodzi w rozmaite ryzykowne przedsięwzięcia, angażując się w niepewne sytuacje, świadczą o ekonomicznym podejściu do życia i braku zgody na paranoję, z jaką stykają się na co dzień. W sytuacji niemożności systemowych i kryzysu jest to bardzo pozytywne zjawisko społeczne.

Trzeba jednak odróżnić te zjawiska od ogólnej frustracji ekonomistów. Wynika ona z faktu, iż w Polsce powojennej byli oni ulokowani przy władzy politycznej, podczas gdy w świecie zawsze sytuowali się przy dużych pieniądzach. Jest to podejście znacznie zdrowsze: tam, gdzie pieniądze, powinni być i ekonomiści. Tam zaś, gdzie polityka — politycy. Frustracja ekonomistów w PRL wynika więc z tego, że dali się wmanipulować w bardzo złą sytuację i pozycję w systemie. Jeżeli zatem wspomagaliby władzę, muszą ponieść koszty jej afirmowania.

Michał Zieliński: — Pozycję mieli dobrą... Tam, kto ma pieniądze, ten ma władzę. A u nas — odwrotnie.

Lesław Paga: — No właśnie, ekonomiści nie powinni kręcić się wokół władzy, ale tam, gdzie są pieniądze i gdzie się je robi. Wtedy przestaną być sfrustrowani, przeżywać stresy i rozczarowania. W USA, na przykład, ekonomiści lokują się w czołówce akademickich karier zawodowych (obok lekarzy i prawników). Jest to zresztą zrozumiałe, bo oni przygotowują ludzi, którzy kiedyś będą najlepiej zarabiali i dostarczali największych zy-



„POLSKA — KRAJ OJCZYSTY” (STR. 9)

Repr. Waldemar Piasecki

sków firmom. W Polsce ekonomista nie może zarabiać dużo, bo on jest urzędnikiem i ma uzasadniać czyżby inne decyzje, a nie podejmować je. Przede wszystkim brakuje polskim ekonomistom możliwości sprawdzania się w warunkach realnej gry rynkowej. Ktoś może być zatem totalnym nieudacznikiem, a twierdzić, że jest wybitnym ekonomistą.

Tadeusz Tuora: — Mówi się także, że powinni oni dostarczać społeczeństwu wiedzy ekonomicznej. Oczywiście, że powinni! Ale bardzo często rozumiane jest to w ten sposób, że sprwadza się to do „obowiązków” tłumaczenia, dlaczego „muszą” rosnąć ceny, albo że nie są możliwe podwyżki płac, bo nie będzie równowagi rynkowej. Hasło, że społeczeństwo jest niewykształcone ekonomicznie, uważam za fałszywe!

Lesław Paga: — Ale przecież społeczeństwo potrafi racjonalizować swoje zachowania w tej patologicznej bądź co bądź sytuacji rynkowej. Potrafi, na przykład, dzielić swój czas na czas pracy i czas stania w kolejkach. Dokonuje optymalnych wyborów z punktu widzenia jednostki. Nawet jeśli pracownik decyduje się wyrwać z biura, by stać po jakiś towar, to ja to traktuję bez emocji. Widać atrakcyjność takiego wyboru w zupełności kompensuje ewentualne dolegliwości (nagana, pozbawienie premii). Jeżeli ktoś „wystoi” w sklepie zamrażarkę, to jest ważniejsze niż utrata nawet kilkunastu tysięcy! Pomijam aspekt moralny takiej sytuacji...

„Relacje”: — Idąc tropem pańskiego wywodu, stwierdzamy, że moralność jest tu kategorią również — chce pan czy nie — ekonomiczną. Jeżeli pewne działania modyfikowane są z pożądanych społecznie (etyka pracy) na inne, mniej szlachetne (te kolejkę), to jest to przede wszystkim wpływ ekonomii na moralność. Zgodzi się pan?

Lesław Paga: — A mam wyjście?! Ekonomista istotnie przez całe lata wyuczyniali cuda z ekonomią i uzasadniali wszystko, co było potrzebne, stawiając rzeczy na głowie. Spowodowało to naturalny brak zaufania do tej pro-

fesji i traktowanie jej jako formy szarlatanerii. Swego rodzaju wiedzy tajemnej, którą można wykorzystywać także przeciwko społeczeństwu. Podczas gdy powinni oni objaśniać społeczeństwu skutki ekonomiczne decyzji politycznych, a również ostrzegać przed niektórymi.

„Relacje”: — Przed jakimi, na przykład?

Lesław Paga: — Dziś mógłbym wymienić trzy takie dziedziny: budżet państwa, system fiskalny i strukturę własności. Bez radykalnych zmian tych obszarów będziemy nadal tkwili w obecnym stanie. Bez zdecydowanej postawy środowiska ekonomicznego społeczeństwo pozostawać będzie skonstruowane i niedoinformowane. Jeżeli idzie o projekt ustawy budżetowej, to zdecydowana większość ekonomistów jest zdania, że w takiej formie będzie ona dalej pogłębiała inflację. Powinni mieć pełne możliwości wyartykułowania tych obaw. Również niejasna struktura własności w gospodarce nie może sprzyjać reformowaniu tej ostatniej. Na dobrą sprawę nie wiadomo, czyje mają być przedsiębiorstwa. Unika się dyskusji na ten temat w gremiach kierowniczych, lansując upartą myśl, iż przedsiębiorstwa „winny zaspokajać potrzeby społeczne”. A kryteria zysku, opłacalności, wydajności?

„Relacje”: — Mówimy tu a błądach i pewnej inercji w czynieniu gospodarki ekonomiczną, ale kto w końcu odpowiada za jej stan? Głosem dworskich ksiązków? Przecież to są wasi kolezdy po fachu!

Michał Zieliński: — No, no, no... To chyba nie jest tak. Od czasów Oskara Langego wybitnych ekonomistów we władzach nie było. Mam tu cały czas na myśli autentyczne znaczenie tego określenia. To, że Jagielski był profesorem ekonomii, a Gomułka uznał, że jest dobrym ekonomistą, jeszcze nic nie znaczy! Powiedzmy — z pewną korektą na profesora Bobrowskiego, który włączył się do kre-

Dokończenie na str. 6—7

relacje

ZE ŚWIATA

WIĘDSKIE SPOTKANIE przedstawicieli państw — uczestników KBWE (zakoczyło się 19 bm.) a trwało ponad dwa lata) można już z całą pewnością nazwać — historycznym. W ocenie komentatorów, jego dorobek przynajmniej dorównuje Helsinkom '75. Dokument końcowy wiedeńskiego spotkania, zawierający zbliżone poglądy 35 państw — sygnatariuszy na temat kluczowych problemów naszego kontynentu, uzyskał już miano „fundamentu europejskiego domu”.

Uczestnicy tego forum z ogromnym zainteresowaniem przyjęli przemówienie radzieckiego ministra spraw zagranicznych E. Szewardnadze, w którym wyraził gotowość Związku Radzieckiego do budowania Europy zaufania, prawa i jawności. Przedmiotem powszechnej uwagi były również aktualne wydarzenia w Polsce, prezentowane przez min. T. Olechowskiego.

ZAPRZYŻENIU GEORGE'A BU-

SHA jako 41 prezydenta USA (20 bm.) towarzyszyły niezliczone imprezy, od wielkiej parady na Pensylwania Avenue, poprzez festiwal dla dzieci, po dziewięć balów inauguracyjnych.

ROZWOJ GOSPODARKI ŚWIATOWEJ w 1988 r. był szybszy aniżeli w minionych 4 latach. Nie sprawdziły się więc prognozy sprzed roku. Natomiast dzisiejsi „protocy” (spod znaku ONZ) twierdzą, że ta pozytywna tendencja powinna utrzymać się w najbliższym czasie, chociaż tempo wzrostu gospodarczego może być nieco mniejsze.

WNUK LWA TROCKIEGO, zamieszkały w Meksyku E. S. Wolkow, otrzymał zezwolenie władz radzieckich (praktycznie — wizę) na odwiedzenie ciężko chorej siostry. Czy oznacza to rychłą rehabilitację „jednego z olbrzymów Rewolucji Październikowej”, zamordowanego w Meksyku — gdzie się schronił — przez agentów Stałina (1940 r.)? Sam Wolkow twierdzi, że

przywzajemnie wzywa ma podłoże głównie humanitarne, wierzy jednak w rehabilitację Trockiego; także dlatego, że „obecni przywódcy Związku Radzieckiego będą musieli — ze względu na siebie samych — ocenić w końcu sprawiedliwie rolę, działalność i tezy jego dziadka”.

40 CZOŁOWYCH POLITYKÓW ŚWIATA, w tym 8 szefów rządów wzięło udział w bońskim „szczyście” z okazji 75-tej rocznicy urodzin Willy Brandta. Relacje telewizyjne i zdjęcia pokazują premiera PRL, M. F. Rakowskiego nieodmiennie blisko jubilatę oraz najbardziej prominentnych gości. Powiada się, iż konsekwencją tego będą ważne kontakty dyplomatyczne (Helmut Kohl potwierdził wizę w Warszawie) oraz gospodarcze.

W BRAZYLII inflacja wynosi już 933 proc. Prezydent tego państwa, Sarney, zamroził ceny i płace, zwolnił 80 tys. urzędników.

ZWIĄZEK RADZIECKI wycofa z Europy Wschodniej 50 tys. swoich żołnierzy, zmniejszy się także liczebność radzieckiej wojska w Polsce.

„NOWĄ FORMĘ SPŁATY DŁUGÓW propozycja swoim wierzycielom niektóre państwa europejskie:

— za pieniądze, które jesteście nam winni, zbudujcie u siebie oczyszczalnie, filtry i tym podobne urządzenia chroniące wodę, a również i nasze (dymy, pyły) środowisko... Polacy, mają podjąć rozmowy na ten temat ze Szwedami.

NICOLAE CEAUȘESCU podczas roboczej narady kierownictw ministerstw, central, zakładów:

— „Socializm jest cudowny, jego pryncypia są cudowne, bowiem zapewniają równość między ludźmi, zlikwidowanie wyższości i ucisku”. Odrzucając potrzebę jakichkolwiek zmian, wezwał do „stanowczego stosowania nauki, nowych technologii, utrzymywania i rozwoju ducha rewolucyjnego w całej działalności”. Sekretarz generalny RPK wzięł też udział w uroczystości „kolejnych urodzin” Eleny Ceaușescu (członek PKW KC RPK, pierwszy wicepremier etc.), uhonorowanej najwyższym tytułem „Bohater SRR” m. in. za „podnoszenie kraju na coraz wyższe szczyty postępu i cywilizacji”.

relacje

Z KRAJU

NIZWYKŁY PRZEBIEG miało X Plenum KC PZPR, a ściślej — dopiero jego druga część (16—17 bm.). Burzliwymi, miejscami dramatyczną dyskusję zakończyło przyjęcie uchwały; większością głosów zaprobowano stanowisko w sprawie pluralizmu politycznego i związkowego; Komitet Centralny w głosowaniu jednoznacznie (przy 4 wotach) wyrażając swój udział wotum zaufania dla kierownictwa partii.

W praktyce oznacza to m.in. otwarcie drogi do powstania „Solidarności” oraz stworzenie możliwości wejścia do Sejmu nowej kadencji stowarzyszeń i ugrupowań politycznych mających charakter tzw. opozycji konstruktywnej.

Wojciech Jaruzelski podczas konferencji prasowej, omawiając dorobek tej debaty, stwierdził: „Chcę powiedzieć wyraźnie: nie dokonaliśmy wczoraj nad ranem żadnego karkołomnego zwrotu. Dokonaliśmy natomiast bardzo ważnego, milowego kroku na tej samej drodze, którą kroczyliśmy wytrwale od wielu lat”.

Otwarcie w dziedzinie ideologicznej i politycznej, dokonane na X Plenum, pozwala przypuszczać, że w ciągu najbliższych miesięcy w krajoznazie społeczno-politycznym Polski zajądą dalsze poważne zmiany. Liczymy przede

wszystkim na znaczący postęp w procesie porozumienia narodowego.”

Lech Wałęsa ocenił ów krok najwyższych władz PZPR jako wyciągnięcie ręki, rokujące nadzieję na porozumienie.

W związku z powyższym ożyły spekulacje na temat „okrągłego stołu”; przewiduje się, że słynny już mebel szybko przewieziony zostanie z Henrykowa do Jabłonki.

EKSPORT DOLAROWY Polski w ubiegłym roku wyniósł ok. 8,2 mld. dolarów, a import ok. 7 mld. dol. Z szacunku wynika, że zaspokojenie podstawowych potrzeb importowych wymagałoby eksportu na poziomie 15 mld. dol.

PREMIER IRANU Mir Hossein Musawi przebywał w Polsce. Odbudowa z wojennych zniszczeń kosztować będzie Irańczyków w najbliższych latach ok. 125 mld. dolarów. Obok firm budowlanych z RFN, Włoch, Japonii, Korei Półn. również i polskie przedsiębiorstwa liczą na kontrakty tym bardziej, że nasi budowlani mają dobrą markę na irańskim rynku. Irańczyk planują napę, na początek dogadają się o do importu do Polski 1 miliona ton tego paliwa. Klientów CPN uraduje zapewne wiadomość, że w Iraku zakupiliśmy już ponad milion ton ropy.

DO 8 LUTEGO zawieszony został strajk w pabianickich Zakładach Tkanin Technicznych. Strajkujący żądali podwyżki o 25 tys. zł, podwyżki; tzw. stawek podstawowych, redukcji administracji, przywrócenia „Solidarności”. Konflikt między załogą a dyrekcją (półki co) zażegnał bank, grożąc wstrzymaniem kredytu, co groziłoby upadłości zakładu.

ZSL WYSTĄPIŁ Z WNIOSEM o przywrócenie obywatelstwa Stanisławowi Mikolajczykowi.

147 NIEZRZESZONYCH PISARZY, skupionych wokół Jana Józefa Szczepańskiego powołał Komitet Załościcki Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

WPROWADZENIE SĄDOWNICTWA GOSPODARCZEGO w miejscu arbitrażu proponuje Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów.

LUBELSCY POSŁOWIE Ryszard Bender oraz Grzegorz L. Siedler podczas niedawnego posiedzenia Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, poświęconego przyjęciu budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych (wyniesie on 33,5 mld zł, a więc o 22 proc. więcej niż w ub. r.) w dość kategorycznej formie zwrócili uwagę na znaczenie planów integracji Europy w 1992 r. i udział naszego kraju w tym procesie. (Porównaj: rozmowę z Z. J. Pietrasiem „Czy Polska leży w Europie?” z nr „Relacji”). W czasie tego samego posiedzenia sekretarz generalny Towarzystwa „Polonia” Józef Klasa, przedsta-

wiając tegoroczne zamierzenia w rozwijaniu kontaktów z wychodźstwem, zwrócił uwagę na trudności związane z kolportażem prasy polonijnej w Czechosłowacji, NRD i Rumunii.

TEGOROČNY TYDZIEŃ POWSZECHNEJ MODLITWY O JEDNOŚĆ CHRZEŚCIJAN (18—25 stycznia) przebiegał pod hasłem „Budować wspólnotę — jedno Ciało w Chrystusie”. Nabożeństwa odbywały się w świątyniach różnych wyznań.

KATOLICKA WYTWORNIJA FILMOWA powstaje w Gdańsku. Wśród założycieli: reżyserzy Andrzej Wałda, Krzysztof Ziński i wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Jerzy Bursa.

PREZES SD PRL zaprotestował przeciwko zamierzonym podwyżkom cen prasy. Wydawcy krok ten uzasadniają znacznym wzrostem kosztów produkcji (poligrafia, papier).

ZMARŁ JÓZEF CYRANKIEWICZ, jedna z najbardziej znanych i kontrowersyjnych postaci powojennego czterdziestolecia.

UPRAGNIONE PRZEZ UCZNIÓW, ale i nauczycieli, ferie rozpoczynają się już 30 stycznia. Pewna grupa młodzieży, niezbyt jednak liczna (powodem ceny), wyjedzie na wczasy i zimowiska. Dla pozostałych organizowane są ferie w mieście, najlepiej gdyby na śniegu. A półki co trwa dziecięcy i młodzieżowy kamawal (dorosli wyraźnie zostają w tyle), w tym ostatnie już studniówki.

relacje

Z REGIONU

Z BADAŃ Instytutu Medycyny Wsi w Lublinie wynika, że 68 proc. dorosłych mieszkańców wsi cierpi na choroby o charakterze przewlekłym. Rolnicy najczęściej chorują na choroby układuw: krążenia, mięśniowo-kostnego i trawiennego. Inny wniosek płynący z badań — nie po drodze jest do chorego człowieka na wsi ani pielęgniarce, ani pracownikowi socjalnemu. Niby o tym wszystkim wiadomo było

i bez badań, ale może teraz problem ten zacznie już być ważny.

ANDRZEJ ROZHIN wyreżyserował dla Teatru Gordonygeze w Egerze „Białe małżeństwo”. T. Rózewicza, Premiera odbyła się w maju ubiegłego roku. Węgierscy krytycy uznali, że było to najlepsze przedstawienie w ich kraju w minionym sezonie. W dniach 26—29 stycznia „Białe małżeństwo” prezentowane będzie w budapeszteńskim Teatrze Thalia, z udziałem reżysera. Przypominamy, że za wystawie-

nie „Okrętu” St. Tyma w teatrze w Debreczynie A. Rozhin uhonorowany

został przed rokiem nagrodą węgierskiego ministra kultury.

Książki dla Lwowa

Przypominamy: „Tygodnik Zamolski” zwrócił się z propozycją ufundowania bibliotek dwu polskim szkołom istniejącym w Lwowie. Apel ten podjęła i nasza redakcja, prosząc swoich czytelników o wsparcie rzeczowe (książki) lub finansowe (nr konta: BDK I Oddział w Zamościu 339403-10937-132 z dopi-

skiem: „Spółeczny Komitet Akcji Książki dla Lwowa”).

Pierwszym ofiarodawcom dziękujemy; tym, którzy chcieliby przekazać książki za naszym pośrednictwem, podajemy adres: ul. Skłodowskiej 2, 20-950 Lublin (w godz. 9—15). Z satysfakcją informujemy, iż do akcji tej przyłączyli się lubelscy graficy. Rozpisali już konkurs na ekslibris. Za tydzień szczegóły. (z)

relacje

Z „RELACJI”

PO ukazaniu się pierwszego numeru „Relacji” otrzymaliśmy wiele telefonów z opiniami, uwagami, słowami otuchy. Kilka osób znalazło czas, aby odwiedzić redakcję. Fakty te skłoniły nas do uporządkowania głosów. Publikujemy najbardziej charakterystyczne.

KRYSTYNA REJMAN, sprzedawczyni kiosku „Ruch” nr 6, w Lublinie przy ul. Lipowej:

— Mogę tylko chwalić. „Relacje” sprzedają się bardzo dobrze. Pierwszy numer bardzo ciekawy. Przeczytałam go z zainteresowaniem. Najbardziej interesował mnie artykuł o aferze ze świadectwem maturalnym. Sama mam syna, który próbował zdawać

na medycynę i też mu zabrakło jednego punktu. W następnym roku zdawał ponownie i dostał się. Myślę, że egzaminom na lubelską AM trzeba się dokładnie przyjrzeć. Chodzą słuchy, że przypadek maturzystki ze „Staszica” nie jest jedynym.

Dr ANDRZEJ PRZEMYSKI, adiunkt w Instytucie Historii UMCS:

— Jestem „za”! Nie udajecie nikogo i nie nasladujecie. Zawartość pierwszego numeru wydaje mi się jednak nieco „przepolmoszowana”. Dobry jest reportaż o rodzinie Szoców i rozmowa z doktorem Łupiną. Słabsze — felietony. Moim zdaniem, nie ma sensu zamieszczanie repertuaru TV, choć pew-

nie ze względów nakładowych (robią to inni także) jest to uzasadnione. Mam zastrzeżenie do strony graficznej. Uważam, że jest zbyt uboga. Może przydałyby się kolor. Nie jestem też pewien, czy ma uzasadnienie przeznaczenie całej kolumny na zdjęcia. Z początkiem byłoby, gdyby ta sama ich liczba była wkomponowana w inne kolumny. Generalnie jednak: oby tak dalej!

CZESŁAWA GOLAL, kierowniczka lubelskich „Delikatessów” przy Krakowskim Przedmieściu:

— Zamówiliśmy „Relacje” do sprzedaży w naszym sklepie. Robimy to samo z „Kurierem Lubelskim”. Sto egzemplarzy waszego pisma sprzedaliśmy już w pierwszym dniu. Powodzenie było bardzo duże. Mnie najbardziej podobały się artykuły o oświatach: maturze, zabójstwie milicjanta, „Polmo-

się”. Tragiczna jest też historia rodziny Szoców. Ze też tacy ludzie musieli opuszczać Polskę! Za atut „Relacji” uważam stronę graficzną; bardzo prostą, bez ozdóbek.

KRZYSZTOF OGRODNIK, sędzia Sądu Wojewódzkiego w Lublinie:

— Zrobiłście pismo na poziomie ponadlubelskim i jako jego czytelnik chciałbym, aby ten poziom został utrzymany. Pierwsze, co „uderza” po wzięciu „Relacji” do ręki, to elegancka szata edytorska, może nieco z pozoru „żałobna”, ale przez to bardziej „graficzna”. Przy tym chcę pochwalić bardzo dobre zdjęcia, wychodzące poza ramy fotografii, a oscylujące w okolicach grafiki. Tekstem numer jeden jest blegijski reportaż o Szocach, a wywiad z doktorem Łupiną mogę pochwalić za odwagę. Z kolei miałki

„TRAGEDIA TA I JEJ SPRAWCA POWINNI ZOSTAĆ ROZLICZENI DOKŁADNIE I DO KOŃCA”

SALA numer dziewięć Sądu Wojewódzkiego w Lublinie jest dokładnie wypełniona publicznością. Budzi to żywe zainteresowanie innych osób znajdujących się w gmachu. Tak było 6 stycznia podczas pierwszej rozprawy i 18 stycznia podczas drugiego posiedzenia sądu. Na wokandzie sprawa przeciwko Jerzemu Prenagali, byłemu młodszemu inspektorowi jednego z wydziałów WUSW w Lublinie, byłemu podporucznikowi SB. Oskarża się go o spowodowanie po pijanemu wypadku samochodowego, w którego wyniku dwie osoby poniosły śmierć, a pięć dalszych doznało obrażeń ciała.

Wypadek, o którym mowa, zbulwersował w pierwszych dniach czerwca ubiegłego roku opinię publiczną Lubli-

nia sprawy na wokandę, związany był z pracochłonnością śledztwa. Chodziło o ustalenie wielu szczegółów zdarzenia oraz faktów, które je poprzedziły i do niego doprowadziły. Nie było to łatwe, bowiem prowadzący „ładę”, jak i jego pasażerowie robili niemało, aby pogmatwać ustalanie faktów.

W akcie oskarżenia, sporządzonym przez prokuratora Prokuratury Wojewódzkiej, Leopolda Piętała, rysuje się jednak dość klarowny obraz wydarzeń 8 czerwca 1988 roku.

Około południa Jerzy Prenagal umówił się telefonicznie z docentem B. na spotkanie. Naukowcowi potrzebne były części do samochodu, natomiast funkcjonariusz wiedział, jak je załatwić. Spokali się przy sklepie na Narutowi-

ruchu. Jechała wówczas już na dwóch lewych kołach. Trafiła nadjeżdżającego „malucha”, którego prowadził Zbigniew N. Pod wpływem uderzenia „maluch” został zepchnięty na bok jezdni, a „łada” w swym tańcu uderzyła w nadjeżdżającego „fso 1500”. Z kolei w „fiata 126p” trafił inny „maluch” jadący tuż za nim.

Jak wykazały badania ekspertów, w chwili wypadku pojazd Prenagala poruszał się z szybkością nie mniejszą niż 79 km/h, a najprawdopodobniej dużo większą (Leszek L. nie mógł dogonić „łady” jadąc 100 km/h). Przy mokrej nawierzchni (deszcz) był to przejaw oczywistej głupoty kierowcy. Z kolei badania Zakładu Medycyny Sądowej AM wykazały, że w godzinę po wypadku Jerzy Prenagal miał we krwi 2,1 promille alkoholu. Natomiast docent Borys B. — 2,9 promille.

Po spowodowaniu wypadku Prenagal wyszedł przez okno pojazdu i, tak się to określa w protokołach, próbował oddalić się. Dzięki pomocy przechodniów i Leszka L. — milicji udało się zatrzymać kierowcę. G. W. odszedł nie zatrzymywany. Ta okoliczność — dość w sumie zagadkowa — dała podstawy do upartego wypierania się G. W. z uczestnictwa w fatalnym rajdzie. Wątpliwości takich nie ma ani Leszek L., ani prokurator.

Docent B. został w wypadku ranny i następnie odwieziony do szpitala. Inny pasażer, M. D. również doznał poważnych obrażeń. Prenagalowi poza potłuczeniami nic się nie stało.

W śledztwie kierowca najpierw przyznał się do prowadzenia samochodu. Później jednak zmienił zdanie. Twierdził, że od opuszczenia domu docenta K. nic nie pamięta. W pierwszym dniu procesu na pytanie sędziego, czy przynajmniej się do winy, odpowiedział już tak: „Nie przyznaję się do zarzuczonego mi przestępstwa. Nie chcę składać wyjaśnień”. Nastąpiło to notabene po pięciominutowej konsultacji z obrońcą.

Prenagal ma dwóch obrońców: Andrzeja Zamorowskiego z Lublina i Ryszarda Berusa z Warszawy. Natomiast oskarżycielem jest wspomniany już prokurator Leopold Piętał. Z mocy prawa oskarżycielem posiłkowym jest matka zabitej dziewczynki Grażyna M., a jej pełnomocnikiem mec. Marek Przeciuchowski oraz aplikant adwokacki Ewa Kiełbowski.

W dwóch pierwszych dniach procesu obrona wykazywała dużą aktywność. Jest ona ukierunkowana na — jak się wydaje — wytworzenie korzystnej atmosfery wokół oskarżonego. Chodzi głównie o pokazanie go jako człowieka uczynnego, który został wmanewrowany w kłopotliwą sytuację poprzez swego znajomego docenta B. Pracownik AR miał być tym „łym duchem”, który zalkoholował Prenagala i jego kolegów owego fatalnego dnia. Podczas, gdy docent twierdzi, że, na przykład, jego kolegi docenta K. pito tylko herbatkę, Prenagal zaprzecza temu i mówi, że opróźnieo więcej niż pół litra. Mało tego: w drugim dniu procesu oskarżony wstał podczas składa-

nia wyjaśnień przez Borysa B. i złożył oświadczenie, iż docent pił już przed ich spotkaniem na ulicy Narutowicza. Świadek G. W. również starał się obciążać docenta, twierdząc, iż w „Malerkim” pił głównie pracownik AR. On, G. W. nie pił, bo wybierał się po dziecko do przedszkola, a Prenagal tylko „zamoczył usta”. Wychodzi na to, że naukowiec najpierw zaprosił i postawił, a potem wypił sam...

Po dwóch dniach procesu trudno coś mówić o linii obrony, poza tym może, że adwokat Berus już pierwszego dnia był upominany przez prowadzącego sprawę za „podpowiadanie” oskarżonemu. Kiedy również 18 stycznia zbył dosłownie sterował wyповідziami Prenagala (co było dobrze słyszalne na sali), sędzia ostrzegł go, że wprawdzie sąd jest prowincjonalny, ale jednak „województki i w przypadku powtórzenia się takiego zachowania adwokat zostanie usunięty z sali.

Wydało się, że obrońcy zmierzają do zasiania wątpliwości, czy Prenagal rzeczywiście 8 czerwca siedział za kierownicą swej „łady” około godziny 18. Są jednak zeznania świadków, w tym koronnego — Leszka L., który widział oskarżonego zarówno w czasie jazdy, kiedy zrównywał się z jego samochodem, jak też po wyjściu z rozbitej „łady”. Pojawia się także próba zasiania wątpliwości, czy prawidłowo jechał owego dnia, kierując „fiatem 126p”, Zbigniew N., ofiara katastrofy. Biegli przygotowujący opinię dla sądu stwierdzili bez wątpienia, iż nie miał on możliwości uniknięcia kolizji. Także świadkowie, prowadzący pojazdy bezpośrednio za nim, twierdzą, iż kierowca „malucha” jechał prawidłowo.

Trzeci dzień procesu, 30 stycznia br. oczekiwany jest z dużym zainteresowaniem. Ma znaczyć szczęście świadków. W tym jadać „łady” inny kolega Prenagala — M. D. Należy zapewne spodziewać się również dokładnego i drobiazgowego prowadzenia sprawy przez przewodniczącego sądu. Jego praca jest przykładem nie tylko rzetelności w dochodzeniu prawdy materialnej, ale także dużego zawodowstwa.

Na koniec nieco o kwalifikacji zarzucanych Jerzemu Prenagali czynów. Zdaniem prokuratora, wyczerpują one znamiona przestępstw objętych artykułami 136 § 1 i 145 § 2 i 3. Oznacza to, w pierwszym przypadku, spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym — zagrożenie nie mniejsze niż pozbawienie wolności na 3 lata (w praktyce nawet do lat 15). W drugim zaś mówi się o spowodowaniu śmierci w wyniku naruszenia zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym w stanie nietrzeźwości i tu zagraża kara pozbawienia wolności od roku do 10 lat.

Wypadki, jakie rozegrały się 8 czerwca 1988 roku na ulicy Zana w Lublinie, wzbudziły oczywistą dezaprobatę i oburzenie społeczne. Nie może budzić niezłej wątpliwości, że tragedia ta i jej sprawca powinni zostać rozliczeni dokładnie i do końca. „Relacje” będą temu procesowi towarzyszyć do jego zakończenia.

PS. Nazwisko oskarżonego podajemy za zgodą sądu.

ZA DUŻO GAZU

Violetta Krasnowska
Waldemar Piasecki

na. Około godziny 18, 8 czerwca na ulicy Zana doszło do tragedii. Jadąc od strony ronda przy skrzyżowaniu Zana i Filaretów „łada”, prowadzona przez Prenagala, gwałtownie zjechała na przeciwny pas ruchu i tam zderzyła się czołowo z „maluchem”. Po tym zderzeniu doszło do następnej kolizji: uderzonego „fiata 126p” z innym „maluchem” oraz „łady” z „fso 1500”. W karambolu śmierć na miejscu poniosł kierowca „malucha” Zbigniew N., funkcjonariusz RUSW w Lublinie. W szpitalu zmarła dziesięcioletnia pasażerka samochodu Magdalena M. Poszkodowany został także drugi mężczyzna jadący „maluchem” Bogdan W. (również milicjant) oraz córka kierowcy Agnieszka N. Z pasażerów „łady” obrażeń doznał Borys B., docent Akademii Rolniczej w Lublinie i Mirosław D., funkcjonariusz WUSW.

Wypadek wywołał lawinę komentarzy i domysłów. W tym także i takich, że sprawa zostanie zatuzowana. Energiczna i szybka reakcja kierownictwa WUSW uciła insynuacje. W komunikacie podpisanym przez rzecznika prasowego urzędu, a opublikowanym w lubelskiej prasie, podano personalia kierowcy „łady”, jego stopień służbowy oraz wyrażono ubolewanie z powodu tragedii. Następnie Jerzy Prenagal został wydalony ze służby w MSW.

Długi okres, jaki upłynął od wypadku i aresztowania kierowcy do wej-

cia. Z Prenagalem przyszło jeszcze dwóch kolegów. Po dokonaniu udanego zakupu (bendix) docent zgłosił swoich dobroczyńców do pobliskiego baru restauracyjnego („Malerki”). Tam czwórka napila się wódki. Potem wsiadli w „ładę” i pojechali do mieszkania docenta K., również pracownika AR. Jeden z kolegów Prenagala pozostał w samochodzie, a reszta towarzysza udala się w odwiedziny. Docent K. przyjął ich z tradycyjnie polską gościnnością i postawił wódkę. Po jakimś czasie wrócili do „łady”. Prenagal usiadł za kierownicą i ruszyli dalej.

Musiła być to jazda budząca grozę, skoro za „ładą” ruszył spod stacji CPN przy Alei Kraśnickiej Leszek L. znany do niedawna lubelski żuźlowiec. Miał zamiar dogonić swoim „maluchem” samochód-widmo, by go zatrzymać i zapobiec ewentualnemu wypadkowi. Nie było to jednak łatwe, bo „łada” jechała z dużą szybkością i wymuszała pierwszeństwo przejazdu na kolejnych skrzyżowaniach. Również mokra nawierzchnia jezdni nie pozwalała na rozwinięcie na tyle dużej prędkości, aby wyprzedzić pirata. Po przejechaniu skrzyżowania Zana i Filaretów, gdy na dłuższym odcinku prostej Leszek L. zmniejszył nieco odległość od „łady”, ta nagle gwałtownie skręciła w prawo, najechała na krawężnik, odbiła się od niego i wykonała nagły skręt w lewo na przeciwny pas

wydaje się wywiad z inspektorami Izby Skarbowej. Ogólnie jednak: tak trzymać!

PIOTR PŁASKOCIŃSKI, radłesteta:

— Podoba mi się, że nie chowacie głowy w piasek i piszecie o sprawach wstydlivych i aferałnych, obrośniętych plotkami, domysłami. Idźcie mi o maturo „Staszicu” i „Polmos”. Bardzo dobrze, że jest również korespondencja zagraniczna. Myślę, że powinien to być stały fragment gry. Czytelnicy chcą oglądać świat nie tylko w telewizji, ale także oczyma dziennikarzy, których znają z lamów i mają do nich zaufanie. Niestety, nie mam najlepszego zdania o szacie graficznej. Nie jestem pewien, czy fotoreportaż, powielający ten sam trick warsztatowy, jest istotnie najlepszą ilustracją. Jak by patrzeć — numer żywy i odważny.

EWA ZAHOR, kierowniczka biura PLL „LOT” w Lublinie:

— Lublinowi potrzebny był tygodnik. Po pierwszym wydaniu „Relacji” mogę powiedzieć, że Lublin ma dobry tygodnik. Co będzie dalej, nie wiem, ale nazwiska zespołu (notabene wielu klientów „Lotu”) dają jakąś gwarancję, że nie powinno być gorzej. Podoba mi się oszczędna grafika. Z tekstów najchętniej czytałam stary o losach rodziny Szoców, esej o Ryszardzie Kapuścińskim oraz teksty aforalne (nawiasem mówiąc, relacja z procesu „polmosowskiego” — nudna!). Moja prośba: więcej tekstów zagranicznych, bez kompleksów!

Ks. BOGUSŁAW WOŁYŃSKI, proboszcz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Lublinie Kościół polskokatolicki:

— Z uwagą przeczytałem pierwszy numer „Relacji”. Jak dostrzegam, staracie się docierać do poważnych pro-

blemów i diagnozować je. Chciałbym jednak w kolejnych wydaniach widzieć więcej artykułów dotyczących warunków naszego życia, budowania narodowej zgody, podmiotowości społeczeństwa, wychodzenia z kryzysu. Debiut pisma wydaje się atrakcyjny, za sprawą artykułów o bulwersujących sprawach, takich, jak morderstwo milicjanta, sfalszowanie świadectwa czy rozmowa o edukacji młodego pokolenia. Moim zdaniem, przydałby się w gazecie jakiś kolor ożywiający szatę graficzną.

DOROTA EGIER, studentka I roku prawa UMCS:

— Naturalnie bardzo się cieszę, że będzie w naszym regionie jeden tygodnik ponadwojewódzki. „Relacje” wydają się takie zadanie spełniać, choć ocena jest niepełna (ukazał się tylko jeden numer pisma). Trochę szkokujała grafika, bez koloru. Jeżeli i-

dzie o zawartość treściową uważam, że zaspokojono potrzebę lokalności i atrakcyjności poprzez teksty o „Polmosie”, zabojuście milicjanta w Łosicach i sfalszowaniu matury w liceum Staszica. Ciekawa jest korespondencja z Belgii, a odważna rozmowa z profesorem Lupina. Jeżeli ten kierunek będzie utrzymywany, „Relacje” powinny przyjąć się na rynku czytelniczym na stałe. O czym chciałabym przeczytać w następnych numerach? O sprawach ludzi młodych. Na przykład reportaży o kimś, kto świadomie decyduje się na emigrację, o niskiej świadomości i kulturze seksualnej w Polsce oraz związanych z tym dramatach niepożądanych ciąży, ich usunięć. O kosztach związanych z nauką.

Dziękujemy za wypowiedzi. Z uwag skorzystamy. Postaramy się być lepsi.

(Red.)

„JAK COŚ JEST PRYWATNE, TO WCALE NIE MUSI USTROJU OBALAĆ”

W LUPINIE zamknięty jest pył. Pył był ważny, bo ma biały kolor. Co innego lupina. Ma tylko kolor. Z litekwi bije kolor złoty, z dankowskiej zaledwie bladeżuchny, jakby kto przez chwilę rzucił na mgłę żółtawy reflektor. A są i lupiny brązowe. Ale i pod nimi pył biały jak miastowe mleko. Ziarno pszenicy to lupina i pył. Jak się liźnie ten pył i na języku zostanie kremowy placek, znaczy: dobra mąka. Spróbuj, to się przekonasz.

Mąkę robi młyn. Gdyby nie młyn, to nie miałyby kto uwolnić pyłu więzionego w miliardach lupin i człowiek nie jadłby chleba. Młyn czuje się odpowiedzialny za to, co człowiek je. Młyn trzeszczać będzie, stękać, zgrzytać, ale zawsze wyludzi ten pył od ziarna. W tym mlyna ważność.

Młyn nad Chodelką też jest ważny. Ważny jeszcze dlatego, że ostat-

byli surowi, do czwartej klasy nie przepuścili. Trzeba było powtarzać. Z Hyrowa do Szczekarkowa szmat drogi i tak samo wielka tęsknota. Z gimnazjum lubelskiego było znacznie bliżej do domu.

Synów chciał młynarz koniecznie wykształcić. Kazimierz miał ambicje. Chciał być kimś. Skończył szkołę w Lublinie i medycynę u Stefana Batorego w Wilnie. Zbigniew uczył się, bo musiał. Młyn pracował na ich naukę. Trzydzieści metrów przemiału miał na dzień, a stacja kosztowała dwieście złotych rocznie, to stać go było. Różni byli w gimnazjum: Dąbek, który musiał dorabiać korepetycjami, i Jacek Szpringer z chalupy na osmiu morgach, i bogacz Milewicz z Milejowa. Profesorowie byli surowi jak ojcowie. Makarewicz — matematyk, Justakowski — fizyk, Wielgoszewski

siedlonych spod Sieradza, Władysława Abramowicza, rotmistrza 13 pułku ułanów, oficera AK, ani Kazimierza Niebrzydowskiego, odbitego przez partyzantów ze starochowickiego więzienia. Nie wydał też Zofię Turowskiej, towarzyszkę wakacyjnych igraszek Zbigniewa, ani jej brata. Ani też Władysława Sity-Nowickiego, znajomego Turowskich, inspektora lubelskiego WiN-u, partyzanta od „Zapory”, którego potem powojenna władza skazała na karę śmierci. Pomogła mu jego ciotka, Aldona Dzierżyńska, rodzona siostra Feliksa, wyprasząc łaskę życia u ambasadora Lebediewa.

W mlynie nad Chodelką, jesienią czterdziestego czwartego, Jarosław Iwaszkiewicz przymierzał się do nowej Polski. Młyn ma mu trochę za złe, że o nim nie napisał... Tak

było antyspołeczne. Antysocjalistyczne. Było kapitalistyczne. Wiec było złe. Podatki duże, urząd finansowy się czepiał. A młyn okolicy potrzebny, jak i przed wojną; tylko pszenicy więcej przerabiał, bo chłop teraz miał na czym ją siać. Wiec z tym było lepiej. Ale Głodkowski musiał jeździć do Warszawy i tłumaczył się w UB — za siebie, za brata, za WiN i AK. Tak samo musieli tłumaczyć się „Orlik”, „Zuk” i „Marynarz”. Tylko Kazimierz się nie tłumaczył. W czasie wojny ukrywał się pod nazwiskiem Piotrowski. Walczył w Powstaniu Warszawskim; wzięty do niewoli znalazł się w Bawarii, potem w Anglii, gdzie zmarł w czterdziestym dziewiątym.

Koniec kulaczenia się mlyna nastąpił w pięćdziesiątym piątym, czego młyn już wcześniej się spodziewał, bo czas był okrutnie bezdyskusyjny. Przyszedł koniec na takich jak młyn i takich jak Głodkowski. Wojewódzki Zarząd Młynów Państwowych wysłał nad Chodelkę kierownika i czterech młynarzy. I wtedy młyn zachorował: przestał nagle dawać dochody. Musiał robić przede wszystkim na kierownika, czterech młynarzy i stróża, bo państwowe to przecież ogólny szcziot, i to go położyło. Dopiero jak przyszedł Gomulka, to oddał mlynowi zdrowie. Nagle okazało się, że jak coś jest prywatne, to wcale nie musi ustroju obalać. Najwyżej może być odwrotnie.

Teraz młyn razem z Głodkowskim mogą powiedzieć, że państwo chroni państwowe, nie chroni prywatnego. Prywatne państwo niszczy. Przecież to nie Głodkowski, a państwowy wykonawca służy spartaczył. Dwa lata budowali, młyn wyl z nierobstwa, a efekt taki, że rzeka zaważona nieczystościami. Mówił o tym Głodkowski inżynierom. Tak, tak — przytaknęli, dodając, że faktycznie słuza spartaczona jak rzadko. No i tyle. Głodkowski twierdzi, że wystarczyłoby jedno dobre stawidło. Ale technika i nowoczesność musiały się wtrącić na chana. Kiedyś w Chodelce chłop by się u-topił, teraz dzieciak ma wody po kolana, a gęsi nie mogą się rozpedzić w nurkowaniu. To jedno. Drugie, że młyn trzeba podreperować, utkać to wszystko, żeby woda szła pilnie tylko przez turbinę, a nie rozlewała się przez szczerbate deski. Bo czas ogólny młyn od spodu, wdała się prężnica i konieczność zamocowania trzeba. Piętnaście metrów cementu aż się prosi; gmina przydzieliła dziesięć, ale Głodkowski nie wie, kiedy ten cement dostanie. A jak? Szkoła turbiny, tej mlyniskiej duszy o żelaza, że się na stare lata podwojnie natyra. Przez tę wodę, co się rozmywa w szczerbach. To drugie. A trzecie — w braku pasów, w tym, że na nowy kamień trzeba sto tysięcy wydać. A czwarte — w czasie, co pędzi ludzi do konkurentów: do Opola i Kraczevic, gdzie elektryka robi mąkę szczerbą. I w tym, że dziś chłop nie siadzie na chojachach, na pogwarce przy papierosku. Bo wieś inna niż kiedyś. Telewizyjna, zmechanizowana, przypylona kontraktami. Nie ta, co pazłotka na misie do Konga zbierała, żeby niewolników wykupować, nie ta, której potrafiliby gwałtownie zwrócić uwagę: klak ci, małko, u mordy wisi... Już nie ta mać.

Nie te dzieci. Syn Zbigniewa Andrzej, emerytowany pracownik lotnictwa, jego dzieci: Beata i Robert, student Akademii Medycznej, nie będą spadkobiercami. Dlatego Głodkowski się uparł: dopóki będę chodźić, dopóty będę robić. Za swego życia nie sprzeda, bo nie miałby gdzie pójść. Mlyna w obce ręce nie odda.

Młyn, mu się dobrem odpłaca. Żywi jego i okolicę. Choć to już nie ten biznes...

Młyn lubi patrzeć, jak rankiem Głodkowski leci gospodarza z ziarnem przyjmować, jak na kłęczkach plewy rozgarnia, jak potem przysiadzie sobie, żeby odpocząć, teraz na dłużej, bo mu mączny pył od-dychać nie pozwala.

MŁYN

NAD CHODELKĄ

Ewa Czerwińska

ni nad tą rzeką. Inne pochłonęła historia. Młyn i młynarz Głodkowski wiedzą najlepiej, jak się obracało jej kolo. Jak chciało przestraszyć, polamać, zmiążyć.

Pierwszy młyn był dworski i robił przeważnie na słodkie ciasteczka panadziejczowe. W piętnastym roku Rosjanom zawadzał i spalili go, że nawet Chodelka nie pisnęła. W tym samym roku zmartwychwstał za przyczyną Jana Włodkowskiego z Dzierzkowic. W dwudziestym dziesiątym Kleniewski parcelował majątek, i młyn kupił Jan Głodkowski wraz z synem i wnukiem. Ten wnuk to Zbigniew Głodkowski, młynarz z mlyna nad Chodelką w Szczekarkowie.

Młynarz Jan wziął się za młyn gospodarską ręką. Wstawił dwie pary walców, jedna para wypędzała mąkę z pszenicy, druga — z żyta i jęczmienia. Częściej odpoczywały walce pszeniczne, bo były tylko dla bogaczy. Biednych było więcej niż bogaczy. Biedni przywozili do mlyna żyto i jęczmień. Z tego był chleb razowy i ospa. Ale młyn nie narzekał. Robota szła na trzy sezony: jeden przed Bożym Narodzeniem, drugi przed Wiekanocą, trzeci przed Zielonymi Świątkami. Przedkówek był cichszy; biedota głodowała, liczyła ostatnie ziarnka kaszy, ostatnie kartofle. Na jednym koninie trzy rodziny gotowały. Jak miały co. I choć nowoczesna turbina, która zastąpiła mlyniskie kolo, szczykowała się do omialu, to od czerwca do znuw młyn musiał przódnować. Najwyżej ktoś zastukał po miarke kaszy, woreczek razówki, po inne pożyczki. Poza tym nic szczególnego się nie działo. Tylko stadka myszy i nadające brakiem ruchu w interesie szozury obiegaly drewniane podłogi, co stanowiło dla mlyna jedyną rozrywkę w czasie orzednowkowej nudy.

Zbigniew, trzeci z rodu mlynarskiego Głodkowskich, nie nudził się. W gimnazjum klasycznym w Hwrowie za Przemysłem, prowadzonym przez ojców jezuitów, czas zanehnyony był historią, matematyką, łacina, greką. Wszystko szło jakoś do głowy, tylko nie greka. Ojcowie

— chemik, Abramowicz — polonista, Wąsowicz — gimnastyk, Zablocki — germanista... Nie opowiadają, nie żyją.

A Zbigniew uczył się, żeby jak najszybciej szkołę skończyć. Maturę zdał nie z powodu wielkiego rozumu, a szczęścia. Zdał nieźle. Po szkole został podchorążym w Dębnie. Jak wrócił, w trzydziestym czwartym, został młynarzem.

Najpierw przyglądał się dziadwoi i ojcu, i mlynowi. A nauka ta podobala mu się bardziej niż łacina i greka. Lubil patrzeć jak turbina wspsa Chodelkę, popędza ją do roboty, i jak potem młyn wylupwa z wysiłkiem mączny pył.

W trzydziestym dziewiątym wojna. Umiera Jan, syn dziada Jana, ojciec Zbigniewa. Umiera złoty wiek, czas dla mlyna spokojny i suty. Czas chłopskich powarek na murawie kolo mlyna, o zbiorach, kto się z kim żeni, a kto kogo zbalamucał, gdzie chrzciny, a gdzie stypa i komu na weselu wódka się za kołnierza nie wylewała... Młyn to wszystko styszał, widział i przypomnia sobie czasem.

Poszedł Zbigniew na wojnę. Jego pułk strzelców spieszył się na te wojnę, ale onaj go omijała. Raz dostali ogień nad Wartą, raz na grupę niemieckich wojsk się natknęli, w maciejowickich lasach. I po wojacie. Wkrótce wojna odbiła to sobie.

Ósmego czerwca czterdziestego roku do mlyna przyjechało gestapo. Chcieli Kazimierza wydrzeć mlynowi. Ale on go dobrze ukrył. Wiec wzięli Zbigniewa. Prosto na Zamek, na śledztwo. Setki razy pytali o datę urodzenia. Zbigniew nigdy się nie pomylił. Oprócz współwięźniów i rozścieczonych Niemców były jeszcze na Zamku waszy, ciasnotta i głodowa zupa na wodzie z porcykami czarnego chleba. Ciężkie mieszanie. Ale Zbigniew brata nie wydał.

Młyn też nie wydawał ludzi. Tych, co tukili się do Głodkowskich, w domu nad rzeką. Do tych stron. Nie wydał Kluchy z rodziną, wy-

jak o pobratymcach znad Lutni i Kamienniej...

W czterdziestym drugim młyn został sierotą. Na miejsce Głodkowskiego przyszedł folksdojz, Teresa, żona Zbigniewa, zapadła na gruźlicę, stryja Adolfa Niemcy zabili na szosie, karabinem w głowę, aż mózg



Fot. Waldemar Stępień

wyleciał. Młyn widział to i płakał. Aż do kwietnia czterdziestego czwartego. Potem młyn został kulakiem. Razem z Głodkowskim. Biurokracja stalinowska liczyła worki, dodawała złotych. Widziała, że o dzień młyn dostaje gotowy grosz i to ją demerowało. No i

OTEJ fabryce mógłbym napisać list otwarty do historii — mówi robotnik, który przepracował życie w FSC. — O niej, o jej podobnych i o nas. Odbijają się tu jak w lustrze wszystkie inne budowy socjalizmu i losy klasy, która miała dostać kierowniczą przepustkę do dzieł. Ja panu opowiem, w czym teraz wszyscy musimy się uporać.

Na początku było to, co znane jest z filmów, książek i wspomnień. Wielkie bloki — to dosłownie i to ludzkie. Ziemskie bloki dawało się pokonać tylko w gumiakach, ludzkie — można było do zwyciężenia siłą woli — gniedziło się na „Bielanach”, w barakach, na których miejscu stoi dziś budynek „Polmożbytu”. Dwudziścia, trzydziście osób w jednej sali, a jakby cały naród: zrewolucjonizowani inteligenci, fanatycy aktywiści, chłam karciacy i alkoholicy, cwaniaki ze szburzonej stolicy i przedpadniętego Lwowa, chłopcy z podlubelskich wsi, górale, Ślązacy i przedwojenni majstrowie. Wówczas najlepiej sprawdzało się powiedzenie, że Polacy to brylanty pozielpane gównem.

Dostałem drewniak (na hall pracowało się w srebrotach) i poszedłem na narzędziownię. Ja — chłopak z małego miasteczka, z przepustką do wielkiego świata w kieszeni. Zdawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi. Zakazywałem rękawy, żeby budować swój porządek. Nie myślałem wtedy o AK-owcach i Katyniu. Na wszystko patrzyłem jak na nową szansę. Pracowałem na wycząrkach. W fabryce wypróbowywano właśnie nóż Kolesowa — jeden z nieudanych eksperymentów. Nie mógł on zdać egzaminu, bo nie mieliśmy obrabiarki z dostatecznie mępną skrzynią przekładniową. Polska „Poręba” nie dawała rady. Prototyp zaś „lublińska” miał w dokumentacji napisy angielskie, pod spodem rosyjskie, a na wierzchu polskie (licencja Forda z 1932 roku dla „Gorki”). My montowaliśmy zresztą tylko kabinę z drewna. To był rok 1952.

Życie na budowie toczyło się wtedy podwójnym nurtem. Jeden to był dom — walka, rozróby, wycięgł przechrzty z drugiego; duchy to praca — wzajemna pomoc, pochrylenie się nad warsztatem, przyuczenie do zawodu. Kadra była jeszcze przedwojenna: z „Cegielniowego”, „Plaże” — Łaskiewicza”, „Stalowej” Woll... Ci ludzie potrafili przyplądować, nauczyć, wychować. Fabryka kierowała światłi dyrektorzy — inżynier Gilewski, inżynier Napiórkowski, który jeździł taką skoda „słonka” i inni. Zadania produkcyjne nakładano potężnie, nie takie, które można nadrobić pod koniec leninowego miesiąca. Ale wówczas panował entuzjazm. Ktoś, kto wyparby się entuzjazmu tamtych lat, wyparby się nie tylko własnej młodości, ale także młodości tego kraju.

Przez pierwsze trzy miesiące zarabiałem 800 złotych, potem 1200. Bułka z masłem i żółtym serem plus mleko kosztowały w fabrycznym kiosku dwa złote. Jeśli ktoś pracował uczciwie i prowadził się oszczędnie, co dwa, trzy miesiące mógł sobie kupić garnitur, buty, kosule. Fabryka miała pod Lublinem własne gospodarstwo. W czasie zimy czy wykopków ZMP organizowały wyjazdy na wieś. W sobotnie popołudnia przed budynkiem dyrekcji stawały dwie, trzy ciężarówki. Nigdy nie odjeżdżały puste. Wtedy nie pytało się nawet o kanapki na drogę. Oprócz premii, liczyło się wywiezienie zdjęć w gablocie. To mobilizowało. Praca trwała od szóstej do czternastej, ale jeśli czegoś nie zdążyło się zrobić, zostawało się po czasie. Zapotrzebowanie na rozrywkę było proste. W baraku zawsze znalazł się ktoś, kto miał harmonijkę. Wrzucałmy do czapki po parę złotych, a on przychodził na świetlicę i grał. W fabryce pracowały także dziewczyny. Wspominam te wieczorki ze wzruszeniem; o bywały się bez bójk i pełne były sentymentu.

Lata pięćdziesiąte to wcale niepręsto lata. Niszczony, ale i budowany ludzi. Jeśli komuś mierzano brata lub ojca — wtedy ciemność; jeśli komuś wyszedła akurat młodość i dostawał szansę — czuło się nadzieję; jeśli komuś ginął młotek rodziny w obronie nowego — do dziś nie potrafi się wyobrazić od gnawa. Dla nas, młodych chłopaków z robotniczych rodzin, paliły się nie kłoty. Pewnie, że nie potrafię nam się teraz wyrazić, ale odwołując się do Kociuba, ale na pogrzeb Bieruta pojedziemy spontanicznie. Co roku widać inny postępek. Wtedy jedynka o 50 groszy czy o złotych-

kę za godzinę miały swoją wartość. Gdyby ten postępek utrzymać, byliśmy dziś szanowanym społeczeństwem. Czy tak się mogło stać? Nie wiem.

W 1955 roku poszedłem do wojska. Po skończeniu służby znowu powróciłem do fabryki. Dostałem mieszkanie w przydzielonych blokach, ożeniłem się, wstąpiłem do partii. Uważałem, że dzieje się dobrze. W szeregi przyjmowano porządnych ludzi, wielu było starych komunistów, którzy przeszli więzienie i przesiedlania, nie tylko z rąk sanacji. Przynajmniej uważałem za swój klasowy i patriotyczny obowiązek. W fabryce trwały tuście lata, szła produkcja „lublińska”, rozwijała się kooperacja. I nagle — coś się zmieniło.

da, przyszyły kredyty, dyrektor Krupa pozawieral korzystne kontrakty, polepszyło się zaopatrzenie, prototyp nowego „żuka” zaczął odbywać jazdy próbne. Dziś, przetrzymany przez dwadzieścia lat w sferze projektów, stracił zupełnie sens. Wówczas nie odbiegał zbytnio od europejskich standardów. Czasami zastanawiam się, czy o produkcji jednego samochodu musiał naprawdę decydować już nie jeden kraj, ale cała RWPG? Tak — był wówczas postępek, ale coś się w ludziach zmieniło.

Przyjeżdż Gierka do FSC, to nie było jego spotkanie z fabryką, z salą,

ją postawę bierną — utracił stan posiadania, przeszedł. Nie wiem, czy to było takie się. Pośpiech mógł wówczas oznaczać ucieczkę alfy, a ucieczkę byłyby w tamtym czasie katastrofą.

Rok osiemdziesiąty pierwszy zaczął komplikować sprawę. Z jednej strony rosła zapalczywość, z drugiej pojawiło się satysfakcjonujące zaopatrzenie, by malala produkcja, rozluźniła się dyscyplina. Emocje i napięcia były kolosalne, z półek sidęgowych zaczęło znikać wszystko. A jednak rzekomy spadek produkcji globalnej o 3-5 procent nie mógł uzasadnić totalnego zamknięcia się rynku. Mimo to znowu zbuntował entuzjazm. Tylko, że chmurzy zagęszczały się coraz bardziej. Wszyscy przezwyciężaliśmy, że coś musi się stać. Kiedy w województwie bielsko-bialskim władza spowodowała strajk w całym regionie dla utrzymania na stołkach trzech promienników, których i tak potem usunęli, przyzywałem wielkie rozterki. Partia powinna „służyć narodowi, nie swoim kadrom, Oddałem legitymację.

Po wprowadzeniu stanu wojennego strajk nie był wyrazem zaangażowania się po jednej stronie; stał się po prostu odcięciem sprzeciwu. Nikt nie liczył w nim na zwycięstwo, chodziło o symbol. Dopóki oddziały wojska i milicji nie dotarły pod fabrykę, ludzie byli swobodni i rozluźnieni. Potem wielu zaczęło się rozluźniać. Nikt nigdy nie myślał o opozycji, takich przygotowań nie było. Trwały tylko dyskusje, czy wyhodzić i kiedy. Oficerowie, którzy wychodzili na teren zakładu, zachowywali się przyzwyczajenie. Po ich wstąpieniu zapada decyzja — wychodzą. To był mroźny dzień. Pierwsza opuszczala fabrykę narzędziownia. Wszystkim nam zrobiło się gorąco. Szliśmy podór podwójnego szpalera wojska i milicji, a z ciemnych okien (domów) patrzyły na nas nasze żony i płacaly. Ktoś zaczął siłom porządkowym celować do nas z broni. Nie skierowuje się karabinów przeciw bezbronnym ludziom. Nawet gdyby były nieznabte. Taką decyzję mógł podjąć tylko człowiek pozostawiony wyobraźni.

z dyrekcją, to była uroczyście na miarę wizyty głowy państwa. Trzy, cztery slogany i wystawny baniek. A przedtem malowanie trawy. Patrzyliśmy na tę bucię i drętwiali nam serca. Część aktywny partyjnego też zdawała się dostrzegać. Po wypadkach radomskich zaczął do nas regularnie przyjeżdżać instruktor z KC, Marciniec czy Marciniek, żeby rozmawiać o robotniczych nastrojach. Lubilem nawet że rozmowy. Mówiłem mu, co ludzie czują. Zdawało mi się, że rozumiał. Cóż, wtedy wciąż rosła armia klakierów, a odczyt: „Partia — Gierka” brzmiała coraz bardziej podejrzanie.

To był także czas otwarcia na Zachód. Wyjeżdżał, kto chciał, i wie pan, co zobaczyliśmy? Tam nie pracuje się z większym zapalem czy poświęceniem, ale tam pracuje się przyjemnie; i sensownie; robota pochłania niewspółmiernie mniej energii, a daje o wiele lepsze efekty. To właśnie odkryliśmy dzięki tym wyjazdom.

W 1980 roku strajk objął FSC w dzień po Świdniku. Zaczęło brakować pieniędzy na utrzymanie rodziny: podwyżki plac zginęły w podwyżkach cen, chorzy także o jedną wolną sobotę w miesiącu. Staliśmy trzy dni i protest zakończył się pełnym sukcesem. Postulaty uznano za słuszne, pracownikom produkcyjnym udzielono podwyżki 800 złotych miesięcznie, administracyjnym — 450, zapłacono za przesiód. To było coś! Partia strajkowała razem z zalogą. Tylko niekierujący aktywiści zaczęli chorować. (Wówczas mieliśmy dwa tysiące członków w 11 tysięcy zatrudnionych). Dziś zostało ich około siedmiuset. A potem... Potem wybuchła „Solidarność”.

„Solidarność” wymieła na światło dzienne wiele czarnych stron naszego życia. Czasami było to przejawnie, nie, przerywane, ale tkwiła w tym także duża część prawdy. Niemal sto procent zalogi wstąpiło w szeregi nowego związku. Dziś oceniam, że w pewnej chwili nabrakło im cierpliwości. Taki ruch, taka masowa organizacja zwinie potrzebę czasu, aby dobrać, żeby się sementowała. Tymczasem na początku rwa do przodu ludzie najbardziej odważni, ale i najbardziej zapalczywi; bezpośredni, ale i nerwowie; świadomi celów, ale pozbawieni dyplomacji — pragną osłagna wszystkie na już. Starano się uszwać niewygodnych ludzi, nie myślał, kto ich zastąpi. Wiele osób domala zawodu i goryczy; nie wszystkie błędy, które im przypisywane, zostały popełnione. A poza tym ktoś z nas był wówczas przygotowany do publicznego rozliczenia się z własnej działalności? Ale „Solidarność” — to był potrzebny powiew, to była duża porażka (leku dla wyłączonego organizmu; młodzież pokrywała tę zmianę z niegrawitacyjnym myśleniem. Trzydziestolaki znowu poszły się potrzebować. A partia przy-

„W SAM RAZ NA POTRZEBY KRAJU, KTÓRY JEST WSZYSTKIM OBOJĘTNY...”

PEJZAŻ Z CIĘŻARÓWKĄ W TLE

Kiedy myślę o tych prawie czterdziestu latach mojego robotniczego życia — smutak jakiegoś przełomu, granicy, która oddziela normalność od wyjątku, postępek od regresu, wiarę od apatii. I wie pan, co mi bezczelnie wymyślił? Kamień lat sześćdziesiątych. Głównika pomstawał przy władzy a pięć lat na dłużej. Tu widział, jak na dzień, niedostatki naszego „dotychczasowego” systemu sprawowania rządów. Gorbačov to rozumie. Chce wprowadzić kadencje dla przywódców. Ile namarowano robotniczej krwi, żeby usunąć kogaś, kto już dawno był martwy?

Najpierw dostrzegłem zaciół. Może nie wszyscy go wtedy widzieli, ale w moim odczuciu odczułymi, że nagle ten powolny marz w górę ustał. Jeszcze przed rokiem żona mogła kupić piątnięcie dekagramów zrynk na śniadanie dla córki, choć my żyliśmy skromnie. Teraz to ustalo. Przeszastyłem się, że sukces, który miał się spełnić lada dzień, lada rok, lada pięciolecie, nie spełnił się nigdy; że nam umknął, że zatarł się, że odpylnął. Po 68. zaczęły wychodzić na jaw sprawy, dotąd przemilczane: powojenny los inteligencji, Powstanie Warszawskie, Front Zachodni. Były już także przecieki o tym, jak żyje Zachód, jak tam wygląda postępek technologiczny. Ludzie zaczęli porównywać. Grudniowe podwyżki z siedemdziesiątego roku stały się zaskokiem. Dotąd nigdy tego nie praktykowano. To musiało przerozodzić się w zapalcik. I nastąpił wybuch. W robotniczym państwie, po raz drugi, polała się robotnicza krew. Krew zawsze jest przeziębieniem, nigdy podniecia do zapalu.

(Młilekmy przez długą chwilkę zapatrzeni w ołki dym buchający z okapowego kominu w niżkie niebo).

Chwała Bogu, że partia nie powtórzyła błędów w osiemdziesiątym roku. Stan wojenny to już bowiem inna sprawa.

Gierka wyswoili entuzjazm, ale był to jakby troche entuzjazm udawany. Zadracał się besporednie wiara w sens pracy; już nie myślało się o tej ogólnie, którą wbudowało się w jeden wspólny smach. Wiarę oserpano raczej z przekonania, że trzeba wierzyć. W przedwojennym czasie to, co było przedtem, straciłoby sens. Tego bardzo bałmy się i dziś. W tym czasie w partii pojawili się elegancy, krótko ostrzyżeni, nakrapiali perfumami technokraci. Tyłko, że czuło się w tym pewną panę, pewien smak, sbytnią mępielgiwość wakti własnej kariery.

Pyta pan, skąd się wzięła dzisiejsza pogon za pieniędzmi, charaktyk odtrącenie kłobiem drugiego, odwrócenie człowieka. Z tamtych czasów. To praw-

15 grudnia powróciłmy do pracy Sądze, że nikt, kto nie ma wszystkich warunków, konieczności i faktów, nie powinien komentować decyzji z 13 grudnia. A jednak przypomniałem i szamnie, które przybliżyły następnego dnia do zakładu, rozlało się na przyszłe miesiące i lata. Z tym władze maszyny się teraz uporać. Kręgotki, który przetraczone, trzeba teraz wyprostować. To trudny proces, dlatego się realizować tylko przez porozumienie.

Tyż o przeszłości. To sprawy, które trzeba było wypowiedzieć, jeśli ktoś chce się zgłębić w działalności tego zakładu, jeśli pragnie zrozumieć jego dzieła dzisiejszy. Każdą rzecz trzeba przeżytkować we własnym sumieniu. Dopiero wtedy nabiera znaczenia. Potem można już ująć do cyt i wykażać. Przelazalem panu uczucie to, co przeżywały ludzie stojący obok mnie przy warsztacie. To nasza prawda. Można ją weryfikować, nie myślę jednak, aby w jakimkolwiek przypadku okazała się inna.

A teraz parę słów o przyszłości. Podsumowując rok 1988, dyrektor mówił o dobrych wynikach ekonomicznych. Brzmi to może jak paradoks, ale nie sposób temu zaprzeczyć. Decyzje o uruchomieniu produkcji nowego samochodu ciągną się, potencjalny rzadziejący kontrahent wycofał swoją ofertę. Trzy lata temu fabryka stanęła na krawędzi bankrucstwa, a jednak udało nam się powadnie rozwinąć działalność kooperacyjną i usługową. Już nie odchodzi o nas ludzie, kuszący wyższą placą, choćby przez „Urusu”. Niektórzy nawet wracają. Sądzę, że kampe przedsięwzięcia, mające wytworzyć jakiś produkt finalny, musi samo decydować o tym, co robi. Komu, co i za ile sprzedać, czy zamierzają z podatku, co do amortyzacji, a co na inwestycje. Musi mieć on status pełnej niezależności. Decyzje powinny zapadać w trójgłocie: dyrekcja — rada pracownicza — zaloga. Gdyby tak było, już od lat rozbiliłmy niezły samochód. Może nie na skalę światową, ale w sam raz na nasze potrzeby. Potrzeby kraju, który jest wszystkim obojętny.

Spisał: Wiesław Horabik

Tekst jest relacją zbieraną z wypowiedzi kilku robotników FSC, którzy uczestniczyli w ankiecie.

CZY W POLSCE POTRZEBNI SĄ EKONOMIŚCI?

Dokończenie ze str. 1

owania decyzji gospodarczych na przełomie 1980/81...

Tadeusz Tuora: — „propagując mitologię przywracania równowagi. Uważał, że najpierw trzeba przywrócić równowagę, a potem przystąpić do reform. Angażował się w nakręcanie błędnego koła, bo dobrze było wiadomo, że w naszym systemie przywrócenie równowagi jest niemożliwe. Chyba, że na krótką metę i drastycznymi metodami politycznymi. Jest do dziś dla mnie zagadką, że ten doświadczony ekonomista tego nie dostrzegł.

Michał Zieliński: — Chciałbym wrócić do pytania, od którego trochę odbiegliśmy. Prowokacyjnie powiedziawszy, ekonomiści nie są potrzebni. Nie tylko w Polsce, ale w ogóle w świecie.

Jeżeli wyobrazimy sobie dwa szeregi: tempa wzrostu ekonomicznego i ilości ekonomistów, to okaże się, że korelacja pomiędzy nimi jest wręcz ujemna! Wcale nie jest tak, że więcej ekonomistów, tym wyższa dynamika wzrostu. Odwrótnie, jeśli spojrzymy na XIX-wieczny boom amerykański, na rozwój innych krajów podążających podobną drogą (Kanada, Australia), to okazuje się, że autorami tego sukcesu byli najczęściej analfabeci, którzy nie potrafili często odczytać nominalów na banknotach.

W ten sposób spoglądając na Polskę, znajdujemy wiele podobnych przykładów. Mamy więcej relatywnie ekonomistów niż RFN, ale z tego nic nie wynika. A z tego właściwie mogłaby wynikać teza dość perwersyjna, iż duża liczba ekonomistów szkodzi rozwojowi gospodarczemu. Spójrzmy rzęszką na rolnictwo i sektor prywatny! Są to dziedziny gospodarki, które jeszcze jako tako się trzymają, a nie są bynajmniej domeną magistrów ekonomii. W rolnictwie ponad 90 procent ma tylko szkołę podstawową lub i to nie... Z kolei sektor prywatny kierowany jest przez ludzi o wysokim poziomie wykształcenia (matematycy, inżynierowie, humaniści), ale takich przypadków jak doktor Tuora jest bardzo niewiele. I co panowie na to?

„Relacje”: — Można by się w takim razie zastanowić nad definicją zawodu ekonomisty w naszym kraju. Doktor Paga wyłożył wcześniej swoje poglądy na rolę tego zawodu w systemie gospodarczym krajów Zachodu. Znamy już także supozycje co do relacji: ekonomistów — władza (w Polsce). Co z podobnymi związkami: ekonomistów — produkcja?

Michał Zieliński: — Panowie, ja

był mi jeszcze chwilę zatrzymał przy definicji ogólnej. Czegoś takiego jak zawód: ekonomista na świecie nie ma! Są akademicy, zajmujący się abstrakcyjnymi teoriami, są analitycy gospodarczy, są politycy gospodarczy i jest czwarta grupa, którą tworzą po prostu przedsiębiorcy. Część z nich ma wykształcenie ekonomiczne. Różnice między tzw. ekonomistami są zapewne większe niż między internistą, chirurgiem i pediatrą, lecz sens tych różnic wydaje się podobny: nikt nie wymaga, aby lekarz ogólny operował, a okulista odbierał porody. Choć wszyscy są lekarzami medycyny.

Natomiast w PRL, z jednej strony, ukończenie ekonomii — teoretycznie — upoważnia do każdej działalności w tej dziedzinie, a z drugiej — praktycznie „ekonomista” niewiele potrafi i nie ma na nic wpływu. Potrzebny jest albo dla dorabiania uzasadnień do decyzji politycznych, albo jest zwykłym buchalterem podliczającym słupki w księgowości.

„Relacje”: — To kogo nam w końcu potrzeba Akademików? Polityków społecznych? Analityków?

Michał Zieliński: — Przedsiębiorców, na Boga! Tacy ludzie u nas są i nie ma potrzeby ich kształcić w uniwersytetach. Wystarczy pozwolić im działać, nie krępować, nie przeszkadzać. Bardzo mi się podobała opinia doktora Tuory w wywiadzie dla „Sztandaru Ludu”, gdzie pan mówił, że w Polsce nie potrzeba żadnej reformy gospodarczej, lecz normalnej gospodarki. Bardzo się cieszę, że to na wet poszło w partyjnej gazecie. Myślę, że w ogóle odpowiedź na pytanie co nam przeszkadza, aby mieć normalną gospodarkę, jest ważniejsza niż pytanie, czy są potrzebni ekonomiści.

„Relacje”: — Rozumiemy, że ekonomiści akademicy są niepotrzebni, bo i tak w końcu decyduje „wolna amerykanka” przedsiębiorców po omówieniu klasów lub niekoniecznie.

Michał Zieliński: — Nie całkiem! Widzę miejsce dla akademików w okolicy władzy — jako grupy zawodowców mówiących tej władzy prawdę o skutkach konkretnych decyzji. Uczciwie, bez umiów, ale także mających na tyle odwagi, aby umieć powiedzieć: „Do widzenia, panowie. Nie chcecie słuchać, bawcie się sami”. Zbyt często poważnie i uczciwie dyskusje ekonomiczne zastępował u nas chór wujów śpiewających hymny władzy.

„Relacje”: — Spadła jakby ostatnio zaproszenie do hymnu, na ten chór. Co powinni powiedzieć władzy ekonomiści akademicy? Panowie na przykład.

Lesław Paga: — Chciałbym przetrzec przed pewnym mitologizowaniem. My tu nie zbudujemy żadnego systemu idealnego, ani w tym panelu, ani w innych dyskusjach. Chodzi o sprawę bardziej przyziemną, o to, co można by zrobić teraz, dziś. Ja widzę takie dwie sprawy. Po pierwsze, jasne określenie stosunków własności w przemyśle, a konkretnie: zmianę formy własności tzw. przedsiębiorstw państwowych. (Krótko mówiąc, czyje mają być przedsiębiorstwa? Bo dotychczasowe, enigmatyczne „nasze wspólne” nic nie objaśnia. Po drugie, uregulowanie kwestii zarządzania gospodarką. Mam tu na myśli tzw. nomenklaturę. W racjonalnym systemie gospodarki (jeżeli założymy, że o taki w Polsce idzie) kadry kierownicze powinny być dobrane w oparciu o kryteria merytoryczne, a nie polityczne. Dyrektorzy powinni zajmować się gromadzeniem interesów ekonomicznych, a nie swym: dobrym „image” w komitetach partii.

Michał Zieliński: — Zgadza się. Powinna nastąpić pełna klarowność w tych kwestiach. Zadałbym jednak pytanie: czy system prawno-finansowy jest pochodną systemu politycznego, czy na odwrót? Odpowiedź jest oczywista: polityka dominuje. I ja oświadczyłem, że polityka dominuje, aby zmienił system prawno-finansowy (zresztą obecnie również represyjny) funkcjonowania gospodarki z pozostawieniem sfery politycznej taką, jaką ona jest. Jeżeli dziś powstanie system o logicznych, stałych i jednolitych zasadach funkcjonowania, z równym dla wszystkich podatkiem, pełną swobodą działania podmiotów gospodarki, a nie naruszmy realiołów politycznych, to nastąpi odzwierciedlenie w krótkim czasie systemu rzeczywistego sterowania. Czyli nastąpi to, od czego energicznie odżegnują się kolejni ekipy rządzące. Tymczasem bez radykalnego rozgraniczenia polityki i gospodarki, a zwłaszcza ograniczenia stopnia ingerencji polityki w gospodarkę, nie może być mowy o efektywności.

I nie idzie już nawet tylko o blokowanie dostępu ludzi bezpartyjnych (czy niemiłe spostrzeganych) do stanowisk, a o całą sferę sterowania niewidzialnego, w jaką uwikłany jest „nomenklaturuszczyk”. Przecież jeden telefon z KC, KW czy jeszcze niższego szczebla może przewrócić całą sensowną koncepcję ekonomiczną! I nie tylko to. Dyrektor ma świadomość tego sterowania i przy każdej decyzji bierze pod uwagę jej odbiór na „górze”: co na to powie towarzyszy X., a pomyśli towarzyszy Y.

Konstrukcje tej wyraźnie obnażyły ostatnie strajki. Okazało się otóż, że mówienie o wynikach ekonomicznych, płacach i rachunku ekonomicznym to jest pic na wodę i pomarańcze. Gdzie strajkowali, tam dostawali forsy, obojętnie, czy zakład był wysoko rentow-

ny, czy akurat właśnie plajtował. Planowano, żeby nie strajkowali, i to jest właśnie przeniesienie problemów politycznych, które powinny być gdzie indziej rozwiązywane — na zakład.

Henryk Dąbrowski: — Mnie osobliwie nie przeszkadza partia w zakładzie. Czy istnieje organizacja w zakładzie, czy nie, to jeśli dyrektor jest członkiem PZPR, powinien realizować linię partii. A to, że jest uzależniony od swojej organizacji, uważam za oczywiste. Niezależnie od tego, czy ona będzie w przedsiębiorstwie, czy — nie. Jest to normalny system oddziaływania partii na dyrektora.

Michał Zieliński: — Dlaczego — normalny?

Henryk Dąbrowski: — Dobrze, weźmy przykład z Zachodu. Przecież tam w przedsiębiorstwach państwowych system oddziaływania politycznego na ich produkcję jest czymś normalnym.

Michał Zieliński: — Bez przesady, dyrektorze! Z faktu, że gaullicy przemą władzę we Francji, nie wyniknie od razu zmiana profilu produkcji czołgów w zakładach Renault, na powiedzmy, większe lub, powiedzmy, nikt nie każe tam robić kaloryferów.

Henryk Dąbrowski: — Nie przesadzajmy znowu, że ktoś coś każe komuś u nas produkować. Niektórzy wręcz chętnie by się zgodzili na to, żeby im wreszcie coś nakazać. Co się z kolei tytułu spętania rąk dyrekcyi przez partię, to akurat ona czyni to w najmniejszym stopniu. Robi to lepiej cały system nakazów i zakazów, który wciąż jeszcze funkcjonuje. Również samorząd pracowniczy krepuje nam działania, a równocześnie tak jest usytuowany formalnie, że nie odpowiada za nic i przed nikim. Odpowiada dyrektor, a wiele decyzji zapada w samorządzie. W zgodzie z prawem samorząd może, na przykład, doprowadzić do ruiny zakład, a załogę (w której imieniu działa) puścić z torbami. Więc ja bym się tak na partię nie użalał. Trzeba raczej grzmieć na brak spójności przepisów prawnych i stać płynącej niedorozwój samodzielności menedżerskiej.

Lesław Paga: — System polityczny i obecność partii w zakładzie jest dla mnie pochodną struktury własności. Jeżeli dominuje własność państwowa, to wtedy rzeczywiście zarówno ten dyrektor-nomenklaturuszczyk, jak i partia w zakładzie reprezentują właściciela i mogą narzucać interesy. Kiedy jednak oddzielimy to od sfery własności (bardzo, jak już mówiłem, niejasnej), która wygląda tak, jak dziś, i uczynimy ją poprzez emisję udziałów i ich sprzedaż, sprawą będzie wyglądała już inaczej. Po prostu wraz z wykupywaniem akcji nastąpi rzeczywiste upodmiotowienie firmy i uspołecznienie zarządzania nią. Sytuacja stanie się jeszcze klarowniejsza, gdy akcjonariuszami będą sami pracownicy zakładu. Wówczas sytuacja dyrektora i jego gestorów politycznych zasad-

„POLMOS” PRZED SĄDEM (2)

ROZKAZ SIĘ WYKONUJE

Izabella Wlazłowska

PROKURATOR przerwał czytanie aktu oskarżenia. Cicho zrobiło się nagle w tej wielkiej sali. Od okien powiało chłodem. Spojrzałam na redaktora Chwałczyka. Dobrze, że byliśmy grubo poukrywane na „cebulkę”. W perspektywie było jeszcze kilka godzin siedzenia w tym chłodzie. Słucham monotonna głosu prokuratora:

„Oskarżam Kazimiera W. o to, że od lipca 1984 r. do 16 listopada 1987 r. będąc odpowiedzialną za ochronę i nadzór nad powierzonym jej mieniem jako kierownik laboratorium, a od maja 1987 r. jako główny technolog Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drodzowego „Polmos” w Lublinie, poprzez fałszowanie zapisów w zeszycie pobrania prób z działu rozlewni i zestawialni oraz dzienników laboratoryjnych, jak też dokumentacji rozliczeniowej laboratorium, działając wspólnie i w porozumieniu z Włodzimierzem T. wzięła udział w zagarnie-

ciu co najmniej 3 253 butelek półlitrowych wódki wartości 2 204 900 zł na szkodę tychże zakładów, tj. o przestępstwo z art. 201 § 1 kk, art. 266 § 1 i 4 kk w związku z art. 10 § 2 kk i art. 58 kk...

...w okresie od kwietnia 1982 r. do maja 1987 r., „działając wspólnie z Franciszkiem Ł., Józefem K. i Aliną Ł. nie dopełniła obowiązku prawidłowego gospodarowania mieniem społecznym oraz przekroczyła swoje uprawnienia w ten sposób, że pobrała poza ewidencją pod pozorem badań laboratoryjnych z różnych działów zakładu alkohol w ilości 230 butelek półlitrowych spirytusu i 176 butelek wódki, które następnie przekazała wó. członkom dyrekcyi, przez co stworzyła w zakładach nieprawidłową praktykę niewiedziennego obrotu alkoholem, powodując poważną szkodę w mieniu społecznym stanowiącą równowartość alkoholu łącznej wartości 378 800 zł, tj. o przestępstwo z art. 217 § 1 i 2 kk...”

Do porozumienia pomiędzy Kazimierzem W. a Włodzimierzem T. doszło około połowy 1984 roku. Z racji pełnionej funkcji kierownika laboratorium pobierała ona do badań laboratoryjnych alkohol z różnych działów zakładu, również z rozlewni i zestawialni. Fakty pobierania alkoholu do badań powinny być, zgodnie z instrukcją, ewidencjonowane w dokumentacji laboratorium oraz działów przekazujących.

Dowody, które zostały zebrane podczas śledztwa wskazują, że Kazimiera W. pobierała z działu rozlewni alkohol w transporterach, bez odnotowania tego faktu w dokumentacji. Po ten alkohol Kazimiera W. przychodziła do rozlewni osobście, albo uzgadniała jego odbiór z Włodzimierzem T. Alkohol ten nie był ewidencjonowany ani w zeszycie rozlewni, ani w dokumentacji laboratorium i nie był zwracany do miejsca jego pobrania, lub też, jako

zlewki do magazynu spirytusu. Nie uwidaczniano go również w sprawozdaniach kwartalnych, przez co dokumenty te były nierzetelnie sporządzane.

Kazimiera W. pobierała tygodniowo od 2 do 6 transporterów zawierających po 15 butelek. Były to tylko dobre gatunki alkoholu.

W śledztwie Franciszek Ł. powiedział: „1 lutego 1982 r. zostałem dyrektorem LZPSiD. W pół roku po objęciu stanowiska dyrektora otrzymałem pierwszą propozycję od wojewody lubelskiego W. przymienia się mu alkoholu. Alkohol ten miał być przeznaczony na uroczystość związaną z pożegnaniem komisarzy i podsumowaniem ich pracy. Wojewoda oświadczył, że sam kiedyś pracował w „Polmosie” i wymienił liczbę 20—25 butelek wódki. Podana liczba alkoholu zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Z wypowiedzi wojewody wyraźnie wynikało, że nie chodzi tu o zakup alkoholu, lecz pewnego rodzaju nieodpłatne świadczenie zakładu na rzecz wojewody. Zrozumiałem, że alkohol ma być pobrany z zakładu nieodpłatnie poza wszelką ewidencją. Widząc moje wahanie wojewoda powiedział, że w zakładzie są możliwości „wygospodarowania” takich ilości bez potrzeby ujawniania tego faktu. Dał do zrozumienia, że alkohol można brać poprzez laboratorium, ponieważ wcześniej wymienił nazwisko Kazimierzy W., kierownika laboratorium.

Po powrocie do zakładu wezwałem Kazimierę W. do swojego gabinetu i



Henryk Dąbrowski



Lesław Paga



Tadeusz Tuora



Michał Zieliński

Fot. Waldemar Stępień

niczo zmieniłyby się. Dlatego też nie oddzielałbym za żadną cenę sprawy nomenklatury od uspołecznienia. Może się przecież zdarzyć, iż na fali reformowania i za wzorem, powiędzmy, Węgier podjęta zostanie decyzja o wycofaniu partii z zakładów, ale praktyczne konsekwencje będą niewielkie.

Michał Zieliński: — Ja bym był ciekaw, jak sprawa organizacji partyjnej i innych ciał wygląda w firmie doktora Tuora, „Cormayu”?

Tadeusz Tuora: — Nie ma w „Cormayu” organizacji politycznych. Zaproponowałem pracownikom, firma działa cztery lata, nikt się z taką inicjatywą do mnie nie zgłosił. Zresztą, wiecie panowie, ja uważam dyskusję o partii w zakładzie za dyskusję za stepską. Założymy, że wyprowadzimy partię z kopalni, ale pozostanie przecież silne lobby wydobywcze. Z partią czy bez! A zostanie ono dlatego, że taka jest organizacja gospodarki, a ona z kolei wiąże się z systemem własności. Czy chcieć, czy nie, ten system zawsze będzie decydujący.

Henryk Dąbrowski: — Grupy interesów będą zawsze. Nawet gdybyśmy zmienili strukturę własności w górnictwie, nie zmienili istoty rzeczy.

Michał Zieliński: — Chyba trochę zmienili! Będą przecież zaleźni od zysku, a ich możliwość wpływania na ogólne decyzje wynikać będzie przede wszystkim z tego faktu, nie zaś z kryteriów pozagospodarczych.

Tadeusz Tuora: — Rzecz nie tylko w kryterium zysku. Interesy zawsze są zakorzenione w strukturze organizacji gospodarki. Zupełnie różna jest sytuacja właściciela jednego zakładu od właściciela 50 tysięcy przedsiębiorstw! Ten ostatni musi zbudować bardzo skomplikowaną i inercyjną strukturę zarządzania. Jest na nią skazany. Natomiast wszelkie rozwiązania typu

spółek, giełd, akcji, obligacji są drobkami cywilizacyjnym czasów, w jakich żyjemy. To tak, jakby się obrazić na system automatycznej łączności telefonicznej, bo go wymyślił kapitaliści.

Per analogiam, jaka by była nasza ocena polityczna wspomnianego wyżej dorobku myśli ekonomicznej, nasze osiągnięcia w jej kontekście są żenująco ubogie. W PRL dominuje własność jednopodmiotowa, a więc forma najbardziej prymitywna, stosowana dziś w świecie, wyłącznie w najmniejszych przedsiębiorstwach. Trudno się dziwić, że stopień identyfikacji dyrektorów, występujących w imieniu tego podmiotu, z firmą, jej kapitałem i wreszcie zyskiem jest nikły. A wręcz śmieszny w porównaniu z udziałowcem, akcjonariuszem czy współwłaścicielem. To jest problem kluczowy, a nie to, czy i jaka partia będzie w zakładzie oraz co ona tam będzie mogła!

„Relacje”: — Poruszenie się panowie w dość drażliwej materii: obecność partii w zakładzie. Związana dla fundamentalistów partyjnych, dla których ów fakt zdaje się być tak oczywistym, jak dzień i noc. Czy uważacie, że istnieją realne warunki do poetyzowania istoty korekt w usytuowaniu PZPR w panoramie naszego życia gospodarczego?

Tadeusz Tuora: — Umawialiśmy się na dyskusję o ekonomii, gospodarce i kwestiach pokrewnych, tymczasem panowie zadajecie pytania trochę jakby nie do nas. Jak się usytuuje partia, jest jej sprawa. My natomiast mówimy o tym, co hamuje, przeszkadza, obojędnia. Zresztą, panowie, takie dyskusje toczą się dziś i na Węgrzech, i w ZSRR. Nie jesteśmy więc specjalnie oryginalni, choć — Bogiem a prawdą — gdyby nie wjeżdża ze Wschodu wiosna, to byśmy sobie tak mogli po-

gadać przy coca-coli, a nie do gazet.

Michał Zieliński: — Podzieliłbym się trochę rolami. Ja usiłowałem atakować polityczne narzędzia kierowania gospodarką, a panowie raczej koncentrowali się na kwestiach własnościowego systemu. Zgadzał się z tym, lecz są to dwie strony tego samego medalu. Upięram się jednak przy większej wadze mego punktu widzenia i chyba mam na to argumenty.

Po pierwsze, są przykłady gospodarek prywatnych, w których normalne mechanizmy rynkowe zostały zastąpione przez mechanizmy polityczne. Argentyna, która była czwartym, w latach dwudziestych, krajem świata pod względem bogactwa, jest dziś w gorszej sytuacji ekonomicznej niż Polska. Rozwój został zablokowany przez politykę. Władza państwowa zawsze znajdzie instrumenty zdolne uszytywać mechanizmy ekonomiczne tak, że przestaną pełnić swoje funkcje rozwojowe.

Po drugie, procesy własnościowe, aby zaczęły przynosić zakładane efekty, wymagają czasu. Natomiast już dziś można zablokować pewne najbardziej szkodliwe mechanizmy polityczne. W normalnych warunkach, określanych przez m.in. stabilizację gospodarczą i socjalne bezpieczeństwo, rola czynnika politycznego jest zasadniczo różna (i mniejsza) niż w warunkach nierównowagi i głębokiego kryzysu. W tej drugiej sytuacji każde upolitycznienie gospodarki i procesów zarządzania nią przynosi negatywne skutki, które nie tylko mogą pogłębiać obecny stan rzeczy, lecz także stwarzają iluzję nieskuteczności podejmowanych reform, blokować ich wprowadzanie, a na koniec prowadzić do restauracji centralizmu, ręcznego sterowania itd.

Lesław Paga: — Dlatego też tak ważnym dla nas, ekonomistów, w dyskusjach o naszej przydatności, roli i użyteczności jest to, abyśmy przestali rozmawiać o kolejnych zabiegach kosmetycznych w systemie gospodarowania, jaki mamy, a skoncentrowali się na zadaniach w warunkach rynkowego systemu gospodarczego. Wtedy można mówić o profesji ekonomisty jako o jednej z lepszych. Dobrze opłacanej, nie frustrującej i powszechnie szanowanej społecznie.

Michał Zieliński: — Ja bym to z kolei określił jako tęsknotę za profesjonalizmem, jaką żywi każdy, kto ma jakiekolwiek ambicje związane z pracą.

Henryk Dąbrowski: — Nie lekceważyłbym także kwestii finansowych. Jeżeli ekonomista mnoży dobra ogólne, powinien z tego tytułu zwielokrotnić własne. Powinien bardzo dobrze i korzystnie sprzedawać swoją wiedzę.

Tadeusz Tuora: — Będę może mało oryginalny, gdy powiem, że ekonomicy z przedsiębiorstw państwowych i prywatnych muszą realizować się w przedsiębiorstwach i bez takiego sprężynowania nigdy nie będą mogli powiedzieć, że są naprawdę zawodowcami. Ekonomista, jak pewnie każdy trener piłkarski, marzy o tym, aby móc zamienić się z gwiazdą futbolu i strzelać decydujące gole.

„Relacje”: — Pozostając w poetyce piłkarskiej, wypada chyba życzyć, aby w naszym kraju zaczęli wreszcie strzelać do gola, a nie tworzyć czas na dyskusje o kolorze chorągiewki sędziego, wysokości murawy i ciśnieniu powietrza w piłce. Im szybciej, tym lepiej. Niektórzy partnerzy z naszej ligi jakby już w to uwierzyli.

Opracowali:
Waldemar Piasecki
Leszek Wiśniewski

przekazałem jej prośbę wojewody. Kazimiera W. nie była zdziwiona. Zapytała jedynie o termin realizacji. Po rozmowie z W. wiedziałem, że żądana przez wojewodę ilość alkoholu będzie można wyprowadzić poprzez laboratorium i że ilość ta mieści się w użytkach laboratorium. Laboratorium rozliczane było kwartalnie z pobranego do badań alkoholu i ja to rozliczałem.

Kazimiera W. dostarczyła mi żadaną ilość alkoholu. Przekazałem go osobnie szefowi wojewodzie, składając go na tzw. zaplecze. Wojewoda podziękował i nie wspominał o zaplacie.

Alina Ł. wyjaśniła: „Kazimiera W. wyślepywała u wojewody W. ścieżki by załatwić przyspieszenie przydziału mieszkania spółdzielczego dla córki”.

Brygadziстка Zofia Z. powiedziała: „Na taśmę przychodziła Kazimiera W. ze swoimi pracownikami z laboratorium. Wyjmowała butelki z wódką z taśmy, a następnie wkładała do transporterów. Przed włożeniem patrzyła czy butelki są czyste i dokładnie zapakowane... Jednorazowo zabierała z taśmy od 2 do 4 transporterów tj. 30-60 butelek... Wybieranie wódki z taśmy przez Kazimierę W. i jej pracownic miało miejsce prawie zawsze, gdy była produkowana wódka wysokogatunkowa. Nie widziałam, aby wódka ta była zwracana na produkcję po zbadaniu w laboratorium”.

Renata C.: „...otrzymałam telefoniczne polecenie od dyrektorki Aliny Ł. wydana alkoholu pani W. Jak się wyraziła pani dyrektor »na drinki dla zaproszonych gości z okazji zjazdu

księgowych». Wydałam 10 sztuk butelek różnych gatunków. Jeszcze tego samego dnia dyrektorka zrobiła mi awanturę, że wydałam nie takie gatunki wódki jakie były potrzebne, gdyż np. z »Krakusa» nie można robić drinków. Pani W. przysłała ponownie i wzięła 5 lub 6 butelek »Wyborowej» ze srebrną etykietką oraz butelkę spirytusu...

Widząc co się dzieje w zakładzie, rozmawiałam na ten temat z kierownikiem Włodzimierzem T., ale on mi powiedział, że wszystko jest w porządku. I nie mam się czego obawiać, bo dyrekcja o wszystkim wie.

Ja wykonywałam po prostu polecenia przełożonych. Osobiście nie miałam z tego żadnych korzyści i postępowałam jak »bezwolne ciele».

Prokurator kontynuuje czytanie aktu oskarżenia:

— Oskarżam Włodzimierza W. o to, że od jesieni 1986 r. do połowy listopada 1987 r. udzielił Alinie Ł. i Józefowi K. — zastępcem dyrektora Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drodzównej, »Polmos» oraz Bolesławowi K., głównemu księgowemu tychże zakładów, co do której wyłączono materiały do odrębnego postępowania — pomocy do przestępstwa niegospodarności, w ten sposób, że wykorzystując możliwość swobodnego poruszania się po zakładzie dostarczał im na ich polecenie alkohol pobrany bez ewidencji z produkcji, przez co umożliwił im jego rozdysponowanie na

cele reprezentacyjne miejscowych jednostek administracyjnych i politycznych oraz na uroczystości organizowane w zakładzie. Działając w ten sposób przeniósł co najmniej 315 butelek półlitrowych alkoholu o łącznej wartości 342 750 zł ułatwiając sprawcom niegospodarnie dysponowanie mieniem zakładów oraz spowodowanie tym szkody w wysokości co najmniej 4 108 340 zł, tj. o przestępstwo z art. 18 § 2 kk w związku z art. 217 § 1 i 2 kk...

...zagarnął na szkodę LZPSiD »Polmos» nie mniej niż 8 butelek półlitrowych wódki wartości 6 480 zł, tj. o przestępstwo z art. 190 § 1 kk w związku z art. 58 kk...

Było to tak:

Ze śledztwa:

Włodzimierz T.: »Nigdy nie pobierałem pokwitowania na wydawany przez siebie alkohol... Zawsze wódkę wynosił ode mnie Włodzimierz W. ...W czerwcu 1987 r. otrzymałem polecenie od dyrektora Aliny Ł. wydania W. 7-8 butelek »Wyborowej» pewexowskiej w kartonach i wódki »Krakusa». Wtedy była w zakładzie delegacja z Kuby»...

Pytania prowadzące dochodzenie skierowane do Włodzimierza W.:

— Jak doszło do udziału pana w kradzieży alkoholu na szkodę »Polmosu»?

— Po prostu wykonywałem polecenia swoich przełożonych. A jak już zacząłem »nosić», to trudno mi było się wycofać.

— Jak pan przeniósł alkohol od Włodzimierza T. do gabinetów służbowych członków dyrekcji?

— Nosilem je w torbie spadochronowej zamkniętej na zamek błyskawiczny. Do torby wchodziło 15 butelek półlitrowych. W nielicznych wypadkach, kiedy torba była zajęta, tzn. był już w niej butelki z alkoholem przygotowanym do przyniesienia komuś z dyrekcji, a miałem dodatkowe polecenie przyniesienia alkoholu, ale już od innej osoby, to przynosiłem go w torbie po wojskowej masce przeciwgazowej. Tam wchodziło jednak mniej butelek, bo tylko 3-4. Miałem w swoim pomieszczeniu biurowym — tajnej kancelarii — wiele takich torb po maskach, które w razie potrzeby wykorzystywałem.

— Czy pan bez żadnych obaw poruszał się po terenie zakładów z torbą wypełnioną butelkami z alkoholem? Przecież pracownicy mogli domyślić się, że przynosi pan kradziony alkohol?

— A kogo miałem się obawiać? Tylko dyrektor mógł mnie kontrolować. Nikt inny.

— Kiedy zawiadł pan alkohol do Urzędu Wojewódzkiego uważał pan, że jest to rzecz zwykła?

— Nie wydawało mi się to dziwne, że część produkcji zakładów zawiozłem do Urzędu Wojewódzkiego. Myślałem, że wszystko jest w porządku. Przecież wojewoda był gospodarzem województwa. Podlegał mi cały przemysł. Wojewoda daje rozkaz, to się go wykonuje.

(cdn.)

56 MIEJSC PRZY „OKRĄGŁYM STOLE” Z HENRYKOWA

CENA PLURALIZMU

Rozmowa z prof. Antonim Rajkiewiczem, członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa i współzałożycielem grupy dialogowej „Consensus”

— Jakie najważniejsze problemy Polaków widziałby pan do podjęcia w spotkaniu „okrągłego stołu”?

— „Okrągły stół” traktuję jako swego rodzaju metaforę, choć tego typu mebel, na 56 osób, został zrobiony w Henrykowie. Sam jestem po doświadczeniach stołu innego kształtu, stojącego w Gdańsku w sierpniu 1980 roku, czy też tego, przy którym obradowaliśmy w roku 1981, przygotowując projekt ustawy o związkach zawodowych, również w 1988 r. tworząc koncepcje projektu ustawy o stowarzyszeniach. Nie kształt stółu decyduje o przebiegu rokowań, ale wola i intencje tych, którzy przy nim zasiadają.

Otóż najważniejszym problemem jest chyba stan wzajemnego zaufania i sposób podejścia do omawianych spraw. Jeśli chodzi o zaufanie, odnośnie wrażenia, że następuje pewna poprawa, a również i obszary negocjacji zdają się być bliższe. Sądzę, że podstawową sprawą staje się dziś ustalenie dróg legalizacji rozmaitych segmentów tzw. konstruktywnej opozycji.

— Właśnie, czy mógłby pan profesor przedstawić swoją wykładnię tego terminu?

— Jeśli powtarzam to określenie, mam na myśli te zespoły ludzkie, które — po pierwsze — tkwią w sferze interesów narodowych Polski i Polaków, a po drugie — dostarczają geopolityczne i ustrojowe uwarunkowania polskiej racji stanu. Są niezależne od zagranicznych źródeł finansowania i, co najważniejsze, gotowe uczestniczyć w rozwiązywaniu współczesnych problemów ekonomicznych i społecznych kraju. Przy czym uczestniczenie oznacza równoczesną odpowiedzialność.

Dla takiej opozycji powinno znaleźć się miejsce we wszystkich wybieralnych organach władzy. A zatem jednym ze szczególnie ważnych zagadnień negocjacji winna być koncepcja ordynacji wyborczej i zarys nowej Konstytucji PRL.

— Opozycja obawia się objęcia nomenklaturą jej hierarchiczną. Działacze związani z „Solidarnością” utrzymują, że oferta władz nie ma nic wspólnego z wolnością wyborczą, a jest jedynie próbą kooptacji, tych ludzi, których władza uważa za „możliwych do strawienia”...

— Uważam, że udział opozycji w wybieralnych organach władzy powinien się odbywać poprzez przedstawianie programów i ludzi z nimi związanych, a wreszcie poprzez sam akt wyborczy. W najbliższych wyborach można byłoby zaoszczędzić, poza listą państwową np. 60 posłów, system okręgów dwumandatowych, z których jeden mandat obsadzany byłby poprzez wybór spośród kilku kandydatów PZPR i stronnictw koalicyjnych, a drugi przypadłby analogicznie opozycji. Natomiast w przyszłości sprawy te regulowałyby nowa Konstytucja.

— Jak postrzega pan obecny system społeczno-polityczny w Polsce i projekcję jego zmian? Jaka jest pańska koncepcja pluralizmu?

— Obecny system uważam za odbiegający od stanu faktycznego i aspiracji społecznych. Pluralizm we wszystkich dziedzinach naszego życia jest faktem! Powinniśmy myśleć, jak go rozwijać, a nie deliberować, czy on jest. Natomiast obawiam się dualizmu, w którym każda ze stron walczyłaby o monopol dla siebie.

Uczestniczenie w pracach nad projektem nowej ustawy zasadniczej. Jest to na razie faza prac studialnych, obejmująca wszystkie działy Konstytucji i analizy porównawcze konstytucji krajów o różnych systemach politycznych. Dyskusje są niebawem interesujące i pozwalają sądzić, że zapoczątkowane już oficjalnie prace nad nową Konstytucją będą mieć solidne tworywo wyściwicze.

W innych krajach socjalistycznych prowadzone są podobne prace. Węgrzy na przykład żartują, że z obecnego tekstu konstytucji pozostanie tylko jedno zdanie: „Stolicą Węgier jest Budapeszt”.

— Nam analogiczny zabieg raczej nie grozi...

— Ale rysują się zmiany daleko idące.

— Przez całe lata obowiązywał w Polsce prymat polityki i ideologii nad ekonomią. Zapowiedź uruchomienia su-



Fot. Robert Lipski

pełnie nowych instytucji i reguli gry ekonomicznej wskazuje na dążenia do emancypacji gospodarki. Równocześnie powstaje opór środowisk konserwatywnych przed „kapitalizacją” systemu. Pytam: czy jest to sprzeczność obiektywna (a więc nieusuwalna), czy też należałoby raczej zrewidować założenia doktrynalne?

— Nie ulega wątpliwości, że istnieje ścisły związek między ideologią, polityką i ekonomią. Trzeba jednak pamiętać, że ideologie zajmują się przede wszystkim sferą wartości, zaś polityka i ekonomia — sferą interesów. Cała sztuka polega na tym, żeby interesów nie odrywać od wartości, a jednocześnie by wartości nie hamowały tych sfer interesów, które służą postępowi i dobru publicznemu.

Zilustrujmy to na przykładzie wartości, jaką stanowi praca. Po encyklice Jana Pawła II „Laborem exercens” nastąpiło w poglądach na wartość pracy ogromne zbliżenie między różnymi orientacjami światopoglądowymi. Rzecz w tym, by istniały gwarancje możliwości pracy, właściwe mierniki jej efektów oraz by efekty te były proporcjonalnie dzielone pomiędzy tych, którzy pracują, a państwem, na którym ciąży obowiązek zaspokajania potrzeb ogólnospołecznych, jak: edukacja, ochrona zdrowia, ekologia, pomoc w wypadkach losowych itd. A zatem: pełne zatrudnienie, wynagrodzenie według efektów, równość szans, bezpieczeństwo społeczne i kontrola sfery podziału — są tymi wartościami, które nie powinny być pomijane w polityce ekonomicznej i w obronie których musi działać polityka społeczna.

Dziś nie widzę w Polsce większych kontrowersji w uznawaniu tych war-

tości przez różne orientacje światopoglądowe. Myślę, że w przyszłych rozmowach Polaków właśnie tutaj najłatwiej będzie osiągnąć porozumienie, choć nie wolno zapominać, że są u nas i tacy, którzy marzą o bezrobociu, o absolutnie wolnej grze sił konkurencyjnych.

— Pan ma na myśli ministra Wilca?

— To właśnie przykład wewnętrznej sprzeczności! W jego dobrach jest kort, basen, sauna. To posiada członek partii, ale czy w tymże Stanisławowie jest pełna infrastruktura społeczna? Zyskom nie musi towarzyszyć efekt społeczny, dlatego istnieją obiektywne granice skoooperowania kapitału prywatnego z gospodarką uspołecznioną. Bezrobocie? Polska potrzebuje pracy, a nie bezrobocia.

— Gdzie przebiegają owe granice reprivatyzacji, „kapitalizacji gospodarki”?

— Nie ma w Polsce wyraźnej koncepcji polityki gospodarczej. Co pewien czas rzuca się chwytliwe hasła, czasami ze sobą sprzeczne, i to jest właśnie następna płaszczyzna negocjacji: ustaleń, ku jakiemu modelowi mamy zmieścić.

— Proponuje pan dyskusję o modelu gospodarki przy „okrągłym stole”, gdy tymczasem rząd i Bełm z góry przesadzają o zasadniczych elementach tego modelu.

— Trzeba odróżnić posunięcia natury taktycznej od celów strategicznych. Osobiście uważam, że w sferze tzw. infrastruktury technicznej i surowcowo-energetycznej musi dominować własność państwowa. Zaspokajaniu potrzeb lokalnych powinien towarzyszyć rozwój własności komunalnej. Natomiast jeśli chodzi o sferę potrzeb konsumpcyjnych, handel i usługi, b formie własności powinno przesądzać kryterium efektywności. Nie może tu być ograniczeń co do form własności, ale każda własność musi być zorientowana zarówno na prawa rynku jak i uczestnictwo (przez system podatkowy) w zaspokajaniu potrzeb ogólnospołecznych. Niech słabsi zostaną wyeliminowani!

— Jeżeli rząd urzeczywistnił swoje plany gospodarcze, to obok pozytywnych skutków ekonomicznych, ujawnią się efekty negatywne: bezrobocie, pauperyzacja wielu grup społecznych, upadłość przedsiębiorstw. Zwiększą się obszary ubóstwa i groźba konfliktów społecznych. Jak się przed tym bronić?

— Nie jest prawdą, że konflikty są nie do uniknięcia. Trzeba przewidzieć jednak możliwość ich wyatłgienia. Dlatego potrzebne są silne przedstawicielstwa pracownicze, do których zadań powinno należeć uzgadnianie zbiorowych układów pracy, system partnerstwa i pantycypacji w ogólnospołecznym podziale dóbr. Na całym świecie głównym zadaniem związków zawodowych jest negocjowanie układów zbiorowych. Na tym polega istota społecznego ustroju pracy i tworzenie zapór przed konfliktami społecznymi i strajkami, które przecież zawsze osłabiają kondycję gospodarczą przedsiębiorstwa i kraju. Model przedstawicielstwa pracowniczego powinien stanowić następny temat rozmów, o których mówiliśmy na początku.

— Państwo socjalistyczne ze swej definicji wyprowadza rozbudowane funkcje opiekuńcze. Tymczasem i one coraz częściej poddawane są krytyce. Czy zatem istnieje także immanentna sprzeczność między tęsknotami socjalistycznego humanizmu a realnymi możliwościami ich spełnienia?

— A kto mówi, że funkcje opiekuńcze są charakterystyczne tylko dla

państwa typu socjalistycznego? Znaczna część europejskich państw kapitalistycznych ogromnie rozwinęła tę rolę. W państwach skandynawskich dużo lepiej niż w krajach socjalistycznych. Doświadczyliśmy jednak do momentu, gdy na Wschodzie i Zachodzie trwają dyskusje na temat granic opiekuńczości. Omawiano to między innymi na Europejskiej Konferencji Ministrów Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie w 1987 roku. Przeważał pogląd, że należy dać więcej swobody jednostce w wyborze sposobów i miejsca zaspokajania potrzeb socjalnych. Podkreślano konieczność upowzechniania idei osobistej przeczności, tworzenia grup społecznej samopomocy, ale i podnoszenia poczucia osobistej odpowiedzialności za swoją egzystencję. Chodził na przykład o koszty społeczne uzależnień i narkotyków; mogłaby temu służyć zróżnicowana stawka ubezpieczeniowa. „Chcesz palić, chcesz pić, niszczyć zdrowie — dobrze, twoja sprawa. Ale płac więcej!”.

— A u nas? Czy można w ogóle mówić o polskiej polityce społecznej?

— Oczywiście, że tak. Z tym, że istnieje rozbieżność między tym, co wynika z prowadzonych badań a praktyką. Jedno z ważniejszych zadań na przyszłość to zmniejszenie owych rozbieżności. Jesteśmy w tej chwili w fazie dyskusji nad modelem polityki społecznej i trudno przesądzać o wyborze jej kierunków. Uważam, że każda zmiana zasad przyznawania świadczeń powinna być wcześniej zapowiedziana, wraz z ofertą możliwości angażowania własnych środków.

— Jakie rozwiązania socjalne krajów wysoko rozwiniętych przedstawiłby pan profesor na polski grunt?

— Przede wszystkim finansowanie ochrony zdrowia także z funduszy ubezpieczeń społecznych, z możliwością wyboru lekarza i terapii. Po wtóre — zmniejszenie funkcji socjalnych przedsiębiorstw na rzecz instytucji wyspecjalizowanych. Jednak w żadnym wypadku nie wolno pozabawiać przedsiębiorstw tych placówek i świadczeń, które efektywnie spełniają swoją rolę i są akceptowane przez załogi. W sytuacji konkurencji między sektorem państwowym a prywatnym, przy niedoborach kadrowych, te sprawy często przesądza o przywiązaniu do państwowej firmy. Chodziłby jedynie o „ekonomizację” polityki społecznej, o ekwiwalentność świadczeń i suwerenność obywatela w ich wyborze.

— Gdzie leżą największe zagrożenia społeczne naszej przyszłości?

— Największe niebezpieczeństwo widzę w kunktatorstwie politycznym, w złudnych oczekiwaniach, że sam rozwój wydarzeń doprowadzi do nowych układów. Dostrzegam zagrożenie w obawie władzy przed utratą monopolu na rzecz alternatywnych rozwiązań i działań. W sferze ekonomii za główną groźbę uważam narastające dotacje w seldotrze uspołecznionym. Czy pan na przykład wie, że dotacje do mleka wyniosły w tym roku więcej niż cały budżet oświaty polskiej?!

Obawiam się z kolei wypuszczenia przez rząd cugli polityki cen, dochodów i gospodarki pieniężnej. Obawiam się „dolaryzacji gospodarki”. Jeśli chodzi o sferę społeczną, to najbardziej martwi mnie narastanie pasywnych postaw i zachowań, obojętność wobec panoszącego się zła, bezinteresowna nieżydziwość i powszechnie panowanie emocji nad rozsądkiem. Głównym naszym zadaniem powinno być poprawienie pozycji inteligencji i podniesienie poziomu edukacji narodowej od przedszkola do szkoły wyższej, od klasy szkolnej do światły i sal konferencyjnych.

— Zgodzi się pan profesor z twierdzeniem, że jedną z głównych przeszkód w porozumieniu społecznym jest brak zorganizowanego centrum politycznego? Czy uważa się pan za człowieka kompromisu, przedstawiciela „średka”?

— Poczynając od roku 1938, od Związku Młodzieży Socjalistycznej „Spartakus”, poprzedzonego służbą ministranką i Sodalizacją Mariąnską, wybrałem te orientacje z przekonania i obserwacji tego, co działo się wokół mnie. Do dnia dzisiejszego trzymam się tej linii, widząc ogromne zróżnicowanie społeczeństwa polskiego i zachowując postawę tolerancji wobec innych prądów, a także sprzeciwu wobec nihilizmu i skrajności, podporządkowanych bądź wątpliwym interesom, bądź nieokreślonym emocjom.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Leszek Wiśniewski

Z WYSTAWY „POLSKA - KRAJ OJCZYSTY”



Władysław Tetmajer — „Wesele krakowskie”



Józef Szermentowski — „Kobzista”



Henryk Wejsenhoff — „Łoś na trzęsawisku”



Józef Chełmoński — „Wieczór na Polesiu”



Jacek Malczewski — „Wspomnienia z młodości”

W IOSNĄ roku 1982 ukazało się w „Czytelniku” pierwsze wydanie „Szachinszacha” (nie licząc fragmentów publikowanych w roku 1980 i 1981 przez tygodnik „Kultura”). Nie był to dobry czas w naszej kulturze. Wiele czasopism było nadal zamkniętych, o innych tytułach wiedziano już, że nie zostaną wznowione. Wielu pisarzy, krytyków i dziennikarzy nie publikowało bądź z osobistego wyboru, bądź dlatego, iż pozbawiono ich tej możliwości. Sytuacja w kraju była napięta, a ludzie zniechęceni.

Ale mamy jeszcze rok 1980 i 1981. Kapuściński przebywa za bramą gdańską stoczni, a wkrótce potem ogłasza w „Kulturze” króciutki, zyskujący szybko sławę tekst o „robołu”, w którym wyjaśnia psychologiczne przyczyny robotniczego protestu. Dlaczego ten tekst różnił się tak znacznie od tego wszystkiego, co napisano wówczas o pamiętnych wydarzeniach?

Myślę, że wytłumaczenie jest jedno: w wypadkach, które przebiegały wówczas przez cały kraj, Kapuściński rozpoznał ten sam mechanizm, tę samą logikę wydarzeń, jaką obserwował wcześniej w Trzecim Świecie. Bohaterem jego reportaży był zawsze człowiek, nie — suche fakty. Co się w człowieku dzieje, czego pragnie i czego się lęka — to były pytania, na które książki Kapuścińskiego dawały przejmującą, głęboką odpowiedź. Toteż stwierdził kiedyś, że w swym dziennikarskim życiu nie przeprowadził ani jednego wywiadu, gdyż zamiast wysłuchiwać oficjalnych deklaracji, woli przystanąć na ulicy i posłuchać zwykłych ludzi. Podobnym zdobywaniem wiedzy jest również sam proces pisania, analizy faktów, selekcji materiału, tworzenia uogólniającej syntezy. To, co się załedwie przeczuwa, co jest na razie intuicją — trzeba opowiedzieć słowami, zdefiniować, nazwać w sposób zrozumiały dla innych.

Niewiele napisała nasza krytyka o „Szachinszachu”, ale dwie recenzje zasługują na uwagę. Pierwsza to szkic Zbigniewa Bauera pt. „Pomnik płomienia”, opublikowany przez „Nowe

KAPUŚCIŃSKI (2) NA CZYM POLEGA SIŁA I MAGIA DOBREJ KSIĄŻKI...

Andrzej W. Pawluczuk

Książki” (1982 nr 3); druga — „Herodot w dżinsach”, tekst Hélyny Zaworskiej ogłoszony w „Twórczości” (1982 nr 4).

Porównując czytelników „Cesarza” z czytelnikami „Szachinszacha”, docho- dzi Bauer do wniosku, iż ta druga książka dostała się „do rąk ludzi niby tych samych, a jednak innych. Mieli oni za sobą przede wszystkim próbę innego już języka, próbę mówienia i pisania nie »obok« i »zamiast«. To, co w chwili, gdy ukazywał się »Cesarz«, wydawało się jeszcze niemożliwe, było już przeżyte, dotknięte, było w zasięgu ręki. [...] Ludzie nie mogli zapomnieć »Cesarza«. Ale figury, którą widzieli teraz, były bliższe. Nie budziły śmiechu ani grozy. Były martwe. Niko- go nie obchodziły. [...] Przecież to, co powiedział w »Szachinszachu« o Polsce lat siedemdziesiątych, zostało niedawno całkiem napisane. Ostrzej. Drapieżniej. Bardziej bezwzględnie”.

Helena Zaworska spojrziała na „Szachinszacha” z innej perspektywy. „padło — pisała — imperium pozorne i okazało się, że nie ma następców zdolnych do zrealizowania postulatów, o które walczone. Okazało się, że następcy są bezradni, a w dodatku także okrutni, mściwi, fanatyczni i ze sobą nawzajem skłócenii. Ta właśnie wiedza jest najgorsza, a nie wiedza o martyrologii. Cierpieć w więzieniu, umrzeć w manifestacji — to wniosło

doświadczenia. Nie umieć, nie móc stworzyć rzeczywistości ludzi wolnych, społeczeństwa w miarę choćby sprawiedliwego — to doświadczenie upokarzające i odbierające wszelką nadzieję”.

„Szachinszach” kończy się poetycką, ale bardzo smutną rozmową autora ze sprzedawcą dywanów: „Pan Ferdousi, który całe życie spędził obcując ze sztuką i pięknem, patrzy na otaczającą go rzeczywistość jak na drugorzędny film w tanim i zaśmieconym kinie. Wszystko jest kwestią smaku, mówi, najważniejsza rzecz, proszę pana — trzeba mieć smak. [...] Wierzy w to, że naród przetrwa wszystko i że piękno jest niezniszczalne [...]. że to, co Persom pozwoliło pozostać Persami przez dwa i pół tysiąca lat, to, co pozwoliło nam pozostać sobą, mimo tyłu wojen, inwazji i okupacji, to była nasza siła duchowa, a nie materialna, nasza poezja, a nie technika, nasza religia, a nie fabryki. Co myśmy dać światu? Myśmy dać poezję, miniaturę i dywan [...], a dywan to trwała rzecz, dobry dywan zachowa kolor na wieki”.

W tym fragmencie książki dostrzegła Zaworska wyraźne odniesienie do Polski: „Nie możemy narzekać, mamy swoje »dywany«, z których jesteśmy dumni i na których możemy duchowo przetrwać czasy, kiedy wszystko wokół gore”.

Ale mnie interesuje w tej mierze najbardziej czas, kiedy Kapuściński pisał tę książkę, albowiem dostrzegam w niej rzadki rodzaj profetyzmu. Nie będzie nadużyciem z mojej strony, jeśli powiem, że to, co działo się w Polsce w latach 1980—81, większość z nas przeżywała w sposób podniosły, wielu z nas zaangażowało się w ówczesne wypadki i byliśmy przekonani, że potrafimy wspólnym wysiłkiem stworzyć jakąś mową, nieznaną dotąd formę współzycia narodowego.

Pamiętam znakomite w tym przedmiocie wystąpienie Andrzeja Kijowskiego podczas Kongresu Kultury Polskiej w grudniu 1981 r. Ież w tym było romantyzmu i jakiegos mesjari- stycznego przeświadczenia, że my, Polacy, możemy czegoś nauczyć podzieloną Europę. Jednakże im bliżej było końca roku 1981, tym bardziej przyskały złudzenia. Szło to wszystko nie w tym kierunku, co trzeba. I coraz bardziej ludzie byli po prostu zmęczeni, choć nie wypalona do końca euforia kazała nam przymykać na to oczy.

Kapuściński posiada niesłychaną intuicję, jeśli chodzi o reakcje społeczeństwa i władzy. Ale właśnie dlatego, że jest to tylko intuicja, że ma on świadomość, iż nie da się z całą pewnością przewidzieć biegu historii, stara się ze swymi przeczuciami nie zdradzać. Tego rodzaju przeczucia na-

POETA: RYDZ-ŚMIGŁY (2)

Mirosław Derecki

P O przekroczeniu (w nocy z 17 na 18 września 1939 r.) granicy polsko-rumuńskiej marszałek Rydz-Śmigły został przewieziony jako osoba internowana przez rumuńskie władze, do Craiovej, dużego miasta na południowo-zachodnim krańcu Rumunii. Zamieszkał, razem z grupą osób ze swego najbliższego kręgu, w obszernym i dość wygodnym pałacu. Mógł nawet wychodzić do miasta, oczywiście po powiadomieniu dowódcy rumuńskiej straży, która wówczas rozciągała nad nim szczególnie troskliwą „opiekę”. Znajdowali się przy nim m.in. płk Zygmunt Wenda — bliski współpracownik marszałka, jeden z przywódców Obozu Zjednoczenia Narodowego; mjr Jerzy Krzeczowski — adiutant; ppłk dr medycyny Henryk Cianciara — lekarz przyboczny marszałka Śmigłego; inż. Wędrzagalowski — rzyciel marzarka; płk Tadeusz Münnich. Poza tym — szofer Kutnik, kucharka i dwaj inni kierownicy.

Tak było do 14 października 1939 r. Owego dnia Rydza-Śmigłego, wraz z towarzyszącymi mu osobami, przewieziono koleją w kierunku północno-wschodnim, w głąb Alp Transylwańskich. Pociąg zatrzymał się na stacji Cimpulung, i stąd samochodami pojechano do Dragoslavele. Jeszcze przed wyjazdem z Craiovej odebrano wszystkim broń krótką.

O ile na początku internowania, a nawet po przyjeździe do Dragoslavele, Rydz-Śmigły mógł żywić nadzieję, że wyrwie się z rumuńskiej pułapki i, po przedostaniu się do Francji, będzie nadal kierował polską armią, to wkrótce plany te zostały zdecydowanie przekreślone. Naciskany przez urzę-

dującego w Paryżu nowego prezydenta Rzeczypospolitej, Władysława Raczkiewicza (za którym stał nowy premier, Władysław Sikorski), musiał 27 października 1939 r. zrzec się funkcji naczelnego wodza.

Coraz rzadziej pojawiali się w Dragoslavele dawni wojskowi; nie mogli marzyć o przedostaniu się tutaj z wizytą osoby cywilne. Jedynie Melchiorowi Wańkiewiczowi udało się 8 grudnia dotrzeć do Rydza-Śmigłego. Autor „Na tropach Śmętka”, pracujący już wówczas nad „Wrześniem żagwiacym”, przeprowadził wówczas długą rozmowę z marszałkiem. Był to ostatni w życiu wywiad udzielony przez Śmigłego.

Codziennosc stawała się coraz bardziej ponura. W willi patriarchy Mirona było zimno, jej mieszkańcy żyli się nader skromnie, tenas spacerów był ograniczony. W styczniu 1940 r. inż. Wędrzagalowski wyjechał, jako osoba cywilna, do Włoch, zaś doktor Cianciara przeniósł się w kwietniu do Cimpulung, gdzie znajdował się obóz dla internowanych polskich oficerów.

Skazany na samotność, trawiony bezczynnością — przeprowadzał marszałek w tej górskiej pustelni swoisty rachunek sumienia; także — w poezji.

„Pisał m.in. wiersze — stwierdza w swej książce Ryszard Mirowicz — będące wyrazem jego nastrojów i przemyśleń. Te niewielkie utwory są jak gdyby osobista spowiedź, a zarazem refleksją nad przeszłością. Wiersze Rydza-Śmigłego pisane w tym okresie nie przedstawiają wartości artystycznej. Sporo jest w nich powtórzeń i prostych rymów, tzw. rymów częstochowskich. Autor nie stosował zbyt wyszukanych środków artystycznego

wyrazu. Natomiast ciekawe są one z punktu zawartych w nich treści. W utworach tych dominują problemy natury osobistej — tęsknota za krajem, żal do bliskich oraz tragiczna sytuacja osoby internowanej”.

Szerególnie interesujące są wiersze pisane na Węgrzech. Zdradzają one m.in. wahania Rydza-Śmigłego, gdy przygotowywał się do powrotu do Polski, gdzie miał zamiar stanąć na czele obozu Polski Walczącej, organizacji tworzonej przez Juliana Piaseckiego. I skłaniają także do postawienia pytania: czy Rydz-Śmigły byłby w ogóle zdolny — w tym stanie ducha, jaki te wiersze odzwierciedlają — spełnić później w Polsce pokładane w nim przez Piaseckiego nadzieje?

Nocą 10 grudnia 1940 r. marszałek Rydz-Śmigły dokonał udanej ucieczki z Dragoslavele. Zorganizowana ona była przez ppłk. Józefa Nejsarka z pobliskiego obozu internowanych w Cimpulung, płk. Zygmunta Koguta-Wyrwińskiego oraz przebywającego w Rumunii śląskiego przemysłowca — Du- dzińskiego.

Wczesnym rankiem samochód wiozący marszałka dotarł do granicy rumuńsko-węgierskiej; grupa uciekinierów przekroczyła ją już piechotą, oczywiście — nielegalnie. Wkrótce Śmigły dotarł do Szegedu, a stąd pociągiem pospiesznym dojechał do Budapestu. Tu został doskonale zakonspirowany przez ludzi, którym przewodził Julian Piasecki. Co więcej; rozpuszczono wieści, że marszałek pojawił się w... Egipcie, że kieruje się do któregoś z krajów Południowej Afryki. Zrobiono to tak umiejętnie, że dał temu wiarę nawet wywiad niemiecki.

Rydz-Śmigły kilkakrotnie zmieniał w Budapeszcie mieszkanie. Legitymował się najpierw fałszywym dowodem wystawionym na nazwisko Stanisława Kwiatkowskiego, profesora ze Lwowa; później otrzymał dokumenty na nazwisko: Stanisław Rogowski. Uchodził więc za stryja znajdującego się w Budapeszcie Bazylego Rogowskiego (były wicewojewoda tarnowski, a wcześniej — żołnierz 4 batalionu I Brygady Legionów). Rogowski był w Budapeszcie, i w ogóle na Węgrzech, doskonale maskowany, bo mieszkała tutaj jego rodzina. Stał się on nieodłącznym to-

warzyszem Śmigłego i miał razem z nim przekroczyć granicę Polski. To właśnie głównie dzięki wspomnieniom Bazylego Rogowskiego, opublikowanym w wiele lat później na łamach paryskich „Zeszytów Historycznych” (nr 2 z 1962 r.), posiadamy dokładne wiadomości o „okresie węgierskim” marszałka.

Z końca 1940 r. datuje się wiersz Rydza-Śmigłego: „Wigilia 1940 roku”.

O Droga moja, to już drugie Święta,

Które spędzamy z daleka od siebie...

Tak pisał marszałek, zwracając się do żony Marty, która przebywała wówczas w Monte Carlo. Notabene jego małżeństwo nie całkiem było udane, jako że podobno Marta była nankomanką, ale Śmigły żywił do niej zawsze głębokie uczucie.

29 grudnia marszałek znalazł bardzo wygodne i bezpieczne pomieszczenie w domu hrabiny Karolyne Marenzi, wdowy po znanym austro-węgierskim generale.

„Jechało się tam — pisał Czary Lezeński w swej książce o marszałku Śmigłym — tramwajem przez ulicę Budy aż do Olasz faser Retek, przy której znajdowała się stacja kolejki wąskotorowej. Jej wagonikami sunącymi stromo pod górę między willami i ogrodami docierało się do stacji Szecheny. Stąd wystarczyło przejść około kilometr w kierunku wysokiej wieży wodnej stojącej przy ulicy Baro Eötvös, a stamtąd wąską uliczką prowadzącą do parterowego domku starannie utrzymanego, a w dodatku schowane wśród drzew”. Śmigły mógł tutaj nie tylko bezpiecznie mieszkać, ale także wychodzić stąd o zmierzchu na spacer po okolicznych uliczkach. To właśnie podczas pobytu w willi hrabiny Marenzi musiał powstać wiersz rozpoczynający się zdaniem:

Wychodzę z domu dopiero wieczorem,

Wąską ścieżką wydeptaną w śniegu...

Dużo w tym okresie Śmigły czytał; książki i gazety przynosili mu Bazyl Rogowski i Julian Piasecki. Z nimi też grywał w szachy. Helena i Tibor Csorba w książce „Ziemia węgierska azy- lem Polaków, 1839—1945” (Warszawa 1985) wymieniają wśród grupy piłsudczyków, którzy zbierali się w owym czasie w mieszkaniu budapeszteńskim dr. Wacława Lipińskiego (bywał tam także Rogowski oraz Sława Wendowa)

leżą do innego porządku myślenia niż ten, jaki rządzi codziennym życiem.

Jeśli zajrzy się do wcześniejszych książek Kapuścińskiego, zwłaszcza do „Chrystusa z karabinem na ramieniu” i „Wojny futbolowej”, widać, że to, co jest tam zapowiedzią, fragmentem obrazu, pojedynczym zdarzeniem, przemienia się w „Cesarzu”, a zwłaszcza w „Szachinszachu”, w myśl o znaczeniu uniwersalnym, w diagnozę na temat człowieka, tłumy i władzy w ogóle.

Pisanie Kapuścińskiego to zawsze pisanie jakby z wewnętrznej perspektywy; on obserwuje od środka, od środka człowieka, a więc od początku, ponieważ to, co uwidacznia się w wielkich procesach dziejowych, co stanowi później teatr historii, musi najpierw narodzić się w konkretnym człowieku. Czy zatem pisząc o Szachu — chciał nas Kapuściński przestrzec? Czy pragnął powiedzieć, że jeśli się nie zmienimy, nie opamiętamy, z idei „Solidarności” pozostanie popiół i „martwy płomień”?

Stwierdzając, że Iran była to dwudziesta siódma rewolucja, którą widział, Kapuściński pisze dalej: „W dymie i w hukku zmieniali się władcy, upadali rządy, na fotelach zasiadali nowi ludzie. Ale jedno było niezmiennym, niezniszczalnym, boję się powiedzieć — wiecznym: bezradność. Jakże mi te siedziby komitetów irańskich przypominały to, co widziałem w Boliwii i w Mozambiku, w Sudanie i w Beninie. Co robić? A ty wiesz, co robić? Ja? Nie wiem. A może ty wiesz? Ja? Poszedłbym na calość. Ale jak? Jak pójść na calość? Tak, to jest problem. Wszyscy zgodzą się, że to jest problem, nad którym warto dyskutować. Duszne, zadymione sale. Wystąpienia lepsze i gorsze, kilka naprawdę świetnych. Po dobrym wystąpieniu wszyscy odczuwają zadowolenie — przecież uczestniczyli w czymś, co było rzeczywiście udane”.

I parę stron wcześniej: „Spójrzcie na ludzi, kiedy uczestniczą w buncie. Są pobudzeni, przejęci, gotowi do poświęceń. W tym momencie żyją w świe-

cie monotematycznym, ograniczonym tylko do jednej myśli — pragną osiągnąć pożądaną cel. Wszystko będzie mu podporządkowane, wszelka niedogodność staje się łatwa do zniesienia, żadna ofiara nie jest zbyt wielka. [...] Ale przychodzi chwila, kiedy nastrój gaśnie i wszystko się kończy. Jeszcze odruchowo, z nawyku, powtarzamy gesty i słowa, jeszcze chcemy, żeby było tak jak wczoraj, ale już wiemy — i to odkrycie napelnia nas przerażeniem — że to wczoraj więcej się nie powtórzy. Rozglądamy się wokół i dokonujemy nowego odkrycia — ci, którzy byli z nami, też stali się inni, też coś w nich zgasło, coś się wypaliło”.

Krytyka na Zachodzie potraktowała „Szachinszacha” z większą powagą, przede wszystkim jako zjawisko artystyczne, nie polityczne — jak bywało z „Cesarzem”. Z kilkuset recenzji, jakie zgromadził Kapuściński o tej książce, wybrałem zaledwie kilkanaście, a wśród nich natknąłem się tylko na jedną, gdzie czynione są jednoznaczne odniesienia do sytuacji w Polsce. Ale i w tym przypadku autor kończy swoje rozważania konkluzją, że wartość „Szachinszacha” polega na jego „uniwersalnych odniesieniach”.

Podkreślanie uniwersalnego znaczenia tej książki oraz niezwykłych kompetencji pisarza — to zasadnicze wątki przewijające się przez większość recenzji na Zachodzie. W zasadzie krytycy zgodni są co do tego, że gdyby Kapuściński nie był wschodnim Europejczykiem, „Szachinszach” nie byłby tak odkrywczy i prawdziwy.

W „London Review of Books” (1985 nr z 4 VII 1985) pisano: „Kto przed rokiem 1978 słyszał o ajatollahu Chomeinim, a nawet wiedział, co znaczy słowo ajatollah? Lecz bardziej godne uwagi niż personalia przywódców jest fakt, że ta rewolucja — pierwsza od XVII wieku — była inspirowana przez religię i używała języka religii do wyrażenia swych aspiracji. Cel wolności i braterstwa, wspólny wszystkim rewolucjom, podciągnięty został pod — obcy i anachroniczny dla zachodnich oczu — sztyl Rządów Boga. [...] Jak doszło do tego pozornego zawrócenia

historii? Jako wschodni Europejczyk, korespondent zagraniczny związany z rządową Polską Agencją Prasową, opisujący przewroty w Trzecim Świecie (w Boliwii, Mozambiku, Sudanie i Beninie), i jako funkcjonariusz państwa, które oficjalnie uznaje doktrynę, że rewolucjom nieuchronnie towarzyszy Postęp, Ryszard Kapuściński jest nadzwyczaj kompetentny, by dostarczyć nam w tej mierze odpowiedzi”.

„New Society” (1985 nr III) pisze o „Szachinszachu” — „to jest cudowne”, zaś „New York Times”, porównując książkę z tym, co napisano do tej pory, stwierdza: „Kapuściński pokazał rewolucję w Iranie w sposób odkrywczy i bardziej obiektywny”. Ale chyba najbardziej obrazowo wychwala naszego pisarza „The Nation” (1985 nr z 22 VI): „ta książka wyróżnia się jako orzeźwiająca odtrutka na ograniczone horyzonty gazetowych kawałków i cienką prozę, która piluje polityczne tematy”. I tym razem były też porównania do światowych arcydzieł. Na przykład recenzent „Newsweeka” (1985 nr z 4 III) pisał: „Zarówno w swoim niepokojącym, jak i aforystycznym stylu książka ta jest podobna do »Człowieka zbuntowanego« Camusa. [...] Przede wszystkim Kapuściński chce wiedzieć, jak to było, że od dawna ciemiężone stado poddanych szacha decyduje, jak w świecie Camusa, iż »lepiej umrzeć na stojąco niż żyć na kolanach«. Co znamienne — »Newsweek«, będący czasopismem o charakterze zdecydowanie politycznym, nie ulega łatwej w końcu pokusie doszukiwania się w »Szachinszachu« aluzji i pisze: »Jakkolwiek kuszące są porównania pomiędzy Polską i Iranem, Kapuściński nigdy nie zapomina o różnicach między Europą a Wschodem»”.

Książka o Iranie jest bardziej pełna, wszechstronna niż „Cesarz”. Zawiera więcej prawdy o istocie terroru, rewolucji, mechanizmach rządzenia, a wreszcie — zawiera więcej prawdy o człowieku, w którym wszystko się zaczyna i w którym wszystko się kończy. Jak słusznie pisze Christopher Hitchens w „The Observer” z 30 marca 1985 r. — „Scenerią jest Iran, ale

z pewnymi przesunięciami akcentów mogłaby to być Etiopia, Nikaragua, a nawet Kambodża”. Podobną myśl wyraził cytowany już autor eseju w „London Review of Books”: „Iran Kapuścińskiego, podobnie jak Etiopia, jest krainą istniejącą w wyobraźni, jednakże krainą tak rzeczywistą, jak rzeczywiste jest miejsce, gdzie naród cierpi z powodu okrucieństwa i szaleństwa konkretnych ludzi”.

Pora kończyć ten szkic; cytaty z zagranicznych recenzji wypełniłyby z łatwością kilka numerów „Relacji”. Przytoczyłem je także dlatego, gdyż wydaje mi się, iż wynika z nich pytanie, na jakie warto byłoby sobie odpowiedzieć. Jest to pytanie dotyczące już nie bezpośrednio Kapuścińskiego, ale nas samych, a zwłaszcza tych pisarzy i krytyków, którzy uważają, że literatura polska nie ma szans zdobycia czytelnika na świecie niejako ex definitione, czyli dlatego — że jest za bardzo polska.

Nie chcę tutaj z nikim dyskutować ani wykazywać, w jaki sposób książki Ryszarda Kapuścińskiego obróciły wniwecz parę mitów stworzonych przez naszą powojenną krytykę (może kiedyś o tym napiszę). Ale choćby to: „Szachinszach”, będący bez wątpienia bardziej „polską” książką niż „Cesarz”, został przez świat odebrany jako rzecz bardziej uniwersalna, mniej „polska”. Dlaczego? Dlatego, że nasze polskie zmagania z historią nie są wcale „prowinjonalne”, przeciwnie: niosą pełne dramatyzm prawdy, których ludziom ustabilizowanego Zachodu nie dane jest doświadczyć.

Myślę, że ci, którzy w naszej literaturze wymyślają różne nurty, rewolucje artystyczne i klasyfikują języki na lepsze i gorsze, zapomnieli, na czym polega siła i magia dobrej książki. A polega między innymi na tym, że pisze się tam o człowieku uwikłanym w istotne problemy, o człowieku, który czegoś chce w życiu. No, potrzebny jest jeszcze talent, ale to już inna sprawa.

(Fragment książki o pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego, przygotowywanej do druku).

— redaktora Janusza Kowalczyka z redakcji „Więści Polskich”. To zapewne przez jego ręce przechodziły wiersze Śmigłego zamieszczane następnie na łamach tygodnika, podpisywane inicjałami „S. R.”.

W maju 1941 r. znalazł się Śmigły nad Bałatonem, w małej osadzie Szantod. Jak zwykle, towarzyszył mu Bazyli Rogowski. Marszałek odbywał codziennie długie, dziesięciokilometrowe spacerki, przygotowując się w ten sposób kondycyjnie do „skoku” przez kilka granic do Polski, dokąd chciał wyruszyć jesienią. Wiele pracował, pisał artykuły polityczne; powstała wówczas rozprawa: „Czy Polska mogła uniknąć wojny?” Z tego właśnie okresu pochodzi wiersz bez tytułu, zaczynający się: **Pakuj, wędrowcze, twe mizerne mienie, Bo w drogę czas!**

25 października 1941 r. rozpoczęła się podróż marszałka Rydza-Śmigłego do kraju. Polską granicę przekroczył wraz z Bazyliem Rogowskim, wczesnym rankiem 27 października. Od samego Budapesztu prowadził ich kurier ZWZ młody górnik z Chocholowa, Staszek Fronczysty, który nie miał pojęcia, że oto otwiera drogę do kraju byłemu naczelnemu wodzowi polskiej armii. Nie zdawał też sobie sprawy, że działa wbrew interesom organizacji, której był członkiem. Kontakt z Fronczystym nawiązał w Budapeszcie Julian Piasecki, sugerując mu, że będzie przeprowadzał przez granicę osoby związane z „legalną” konspiracją, podległą rządowi generała Sikorskiego w Londynie.

Rydz-Śmigły dotarł do Warszawy i rozpoczął działalność konspiracyjną stając na czele Obozu Polski Walczącej. Od 3 listopada 1941 r. mieszkał w lokalu zajmowanym przez Jadwigę Maksymowicz-Raczyńską, wdowę po generale, w kamienicy przy ul. Sandomierskiej pod numerem osiemnastym. W ciągu ostatnich tygodni życia pracował m.in. nad obszernym materiałem na temat oceny wydarzeń politycznych w Polsce w latach 1934—1939. W wolnych chwilach — malował.

Ostatniego wieczoru przed śmiercią czytał jedną z powieści Dickensa oraz wydawany przez ZWZ „Biuletyn Informacyjny”.

Zmarł w nocy z 1 na 2 grudnia 1941 r. na atak serca.

Pogrzeb marszałka Rydza-Śmigłego odbył się w kilka dni później, 6 grudnia 1941 r. Pochowano go na Powązkach jako Adama Zawiszę.

Przez długi czas fakt zgonu Edwarda Rydza-Śmigłego utrzymywano, z różnych przyczyn, w ścisłej tajemnicy. Władysław Pobóg-Malinowski w artykule „Ostatnie chwile marszałka Śmigłego” („Kultura”, nr 12, Paryż 1951) pisze m.in., że na skierowane z zagranicy do przebywającego w Polsce płk. Lipińskiego wyraźne pytanie, czy Śmigły żyje — Lipiński odpowiedział w liście datowanym 1 sierpnia 1943 r.:

„[...] Co do śmierci wujka Grzybowskiego [tak określano osobę Rydza-Śmigłego — przyp. M. D.] proszę nie mieć żadnych iluzji, i nie ulegać wpływowi fałszywych informacji. Julek [Julian Piasecki — przyp. M. D.] rozmyślnie ją tak czyniąc tym wielką Grzybowskiemu krzywdę. Edward umarł w grudniu 1941 r. Akt zgonu został sporządzony z całym ceremoniałem, należnym głowie rodziny. Na 17 marca (tj. w dniu imienin) sam byłem na grobie obsypanym tego dnia wieńcami i kwiatami przez Jułka i jego najbliższych przyjaciół...”

Pod nazwiskiem Zawiszy miał przeleżeć w swym grobie marszałek Rydz-Śmigły przez następnych kilkadziesiąt lat, zanim władze wyraziły zgodę na właściwy napis na płytę cmentarnej.

W niespełna osiem lat po śmierci Edwarda Rydza-Śmigłego, opublikowano na Zachodzie siedemnaście, z dwudziestu sześciu, zachowanych jego wierszy powstałych w Rumunii i na Węgrzech. Zamieściła je paryska „Kultura” w nrze 8/25 z 1949 r.

We wstępnej nocy podpisanej inicjałami „P. H.” jej autor stwierdza, że w końcu 1944 r. od „pewnego starożytnego pilsudczyka”, ukrywającego się wówczas w Słowacji, otrzymał nieznany mu rękopis, po który miał się zgłosić ktoś z znajomych nadawcy. Ponieważ jednak od dawna nikt się po depozyt nie zgłosił, a i sam nadawca przekazanego w depozyt ręko-

pisu zaginął bez wieści, „P. H.” postanowił kopertę otworzyć. Znalazł w niej dwadzieścia sześć luźnych, ponumerowanych kartek maszynopisu. Papier był niejednolity, przypominający ten, jakiego najczęściej używano w latach wojny na Węgrzech. Niektóre wiersze były podpisane literami „R-S”...

„Oddając do publikacji [w budapeszteńskich »Więściach Polskich« — przyp. M. D.] kilka tylko z 26 wierszy — stwierdza »P. H.« — autor miał za-

pewne świadomość, że nie wszystkie są w jednakowym stopniu wykończony i gotowe do druku. [...]”.

Kim był „pewien stary pilsudczyk” ze Słowacji? W jaki sposób wiersze Edwarda Rydza-Śmigłego trafiły w jego ręce? Kto miał odebrać depozyt od pana „P. H.”?

Na te pytania do tej pory nie ma odpowiedzi. Pozostały wiersze.

Edward Rydz-Śmigły WIGILIA 1940 ROKU

O Droga moja, to już drugie Święta
Które spędzamy z daleka od siebie.
Ja w dużym mieście, darmo szukam

Gwiazdy, co szopkę w Betlejem
w niebie
pamięta,

Lecz chociaż jestem sam, wśród
obcych murów
Z dala od Ciebie i od Polski z dala,
Choć mi się żadna gwiazda nie zapala,
Ani nie słyszę pień anielskich chórów,

To jednak, kiedy pomyślę o Tobie,
To wiem przynajmniej gdzie i w jaką
stronę

Myśl ma swe skrzydła skierować
zmęczone,
By ucałować Twoje ręce obie.

Ty zaś na próżno myśl trudzisz
w noc ciemną
Przez śnieżne góry i szumiące morza,
Ponad przepaście i obce bezdroża
By choć w przelocie spotkała się
ze mną.

Wychodzę z domu dopiero wieczorem
Wąską ścieżyną wydeptaną w śniegu.

Pod oszroniałych drzew spletanym
wzorem

Idę, jak gdybym spodziewał się czego.

Chociaż wiem dobrze, że nie
i nikt przecie

Ku mnie nie zmierza i nie spieszy

mile

Idę tak, jakby wszystkie drogi
w świecie

Stały przede mną otworem, i tyle

Mógłbym ich wybrać ile pragnie dusza.

A wiem, że pragnę już dróg tych
niewiele,

I że los jedną drogą iść mnie zmusza
I że tak łatwo z nią się nie rozdziela.

* * *

Pakuj wędrowcze twe mizerne mienie,
Bo w drogę czas!

Bierz jeszcze jedno na przyszłość
wspomnienie

Czasu, co zgasł.

Tu, czy gdzie indziej — tym się nie
kłopotę...

A jednak może
Są takie miejsca i są takie noce,
Gdzie jeszcze gorzej.

Lecz chociaż jutro stopa ma przekroczyć
Znów nowy próg,

Wiem, że się spełnia wśród gwiazdnych
przełoczy

Wciąż ten sam Bóg.

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? (2)

ZASADNICZE POCIĄGNIĘCIA BYŁY POBIERANE ZA RADĄ TOW. STALINA

Janusz Wrona

KONCEPCJE programowe polskiej lewicy, działającej w Związku Radzieckim podczas wojny (przypomnijmy: Związek Patriotów Polskich powstał wiosną 1944 roku, a Centralne Biuro Komunistów Polskich w styczniu 1944 roku), do dziś są przedmiotem różnego rodzaju spekulacji. Szczególną kontrowersję budzi osoba gen. Zygmunta Berlinga oraz płaszczyzna sporów dowódcy I Dywizji z Wandą Wasilewską i grupą komunistów.

Problemy tych dotykał pokazany nie tak dawno w Telewizji Polskiej film p. „Generał Berling — kartki z pamiętnika” w reżyserii Romana Wlondzka. Wywołał on żywą reakcję; m. in. spowodował wystąpienie dziesięcioletniego bardzo znanego działacza partyjnych i państwowych, którzy w liście do „Polityki” oskarżyli reżysera o fałszowanie faktów i manipulację historią. Napiętnowano tezę, że komuniści pragnęli włączyć Polskę do ZSRR jako XVII republiki, zaś jedynie gen. Z. Berling eksponował hasła odbudowy Polski niepodległej. Za nieprawdziwą uznano też wersję, że czołowy działacz rozwiązanej KPP, a jednocześnie współtwórca ZPP, Alfred Lampe był przeciwnikiem utworzenia armii polskiej w ZSRR. Zakwestionowano również prawdziwość informacji przekazanej w filmie, że radzieckie władze bezpieczeństwa sporządziły listę osiemnastu komunistów polskich, których miano deportować na wschodnie terytoria ZSRR za ich sprzeciw wobec twórczenia I Dywizji. Akcji tej miał zapobiec gen. Berling.

Odpowiedź reżysera nie wyjaśniła kontrowersyjnych problemów, lecz była swoistym dolaniem oliwy do ognia: „Zarzut fałszowania historii w filmie „Generał Berling — kartki z pamiętnika”, sygnatariusze listu („Polityka” 47), b. działacze polityczni i wojskowi winni moim zdaniem, skierować pod adresem autora tego dotychczas nie publikowanego dzieła. To ono, skrętnie przechowywane w naszych archiwach, stało się podstawą scenariusza i dialogów. Gdybym podał w nich wszystko, co dodatkowo wiem m. in. z bezpośrednich rozmów z generałem, uszy jego przeciwników spuchłyby jeszcze bardziej. Mam jednak podstawy (wszystkie kopie mojego telewizyjnego filmu z r. 1971 pt. „Spotkania z Generałem” zaginęły), by wątpić, czy taki film w ogóle ukazałby się na ekranach, przecież i z obecną wersją miałem sporo kłopotów („Polityka” nr 52 z 24 XII 1988)”.

Jakie więc były koncepcje ustrojowe tworzone przez polską lewicę w latach 1943—1944 w ZSRR?

Wśród tych koncepcji na szczególną uwagę zasługują poglądy Alfreda Lampego, głównego ideologa ZPP. Był on autorem „Notatek” dotyczących zagadnień programowych, materiału udostępnionego szerzej historykom w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Lampe stworzył projekt deklaracji Polskiego Komitetu Narodowego, który to Komitet w pierwszej wersji miał stać się polskim ośrodkiem władzy wylencym w ZSRR. Przedstawiony przez Lampego projekt deklaracji PKN został w sposób istotny wykorzystany przy opracowaniu w lipcu 1944 r. manifestu programowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Całociągła koncepcja Lampego, dotycząca drogi do komunizmu w Polsce, a uwzględniająca polityczne i społeczne realia polskie i stosownie do nich sformułowana, nie weszła do tego ostatecznego dokumentu i poza wąskim gronem osób pozostała nieznana.

W swoich rozważaniach zawartych w „Notatkach” A. Lampe wychodził z przekonania, że polscy komuniści, by osiągnąć po władzę, muszą zniszczyć inne struktury polityczne lub je odpowiednio przekształcić oraz winni zdobyć uznanie społeczne. Jak zaznaczał Lampe — z „wyjątkiem komunistów wszystkie tradycyjne kierunki polskie były antysowieckie [...]. Związek Radziecki nie może pozwolić na to, by po wojnie odbudowało się państwo

polskie wrogo wobec Związku Radzieckiego nastawione”. Przemiany polityczne w kraju miały być ułatwione wobec przewidywanego kryzysu i deprecjacji wszystkich działających w Polsce kierunków politycznych. Nową rzeczywistość miała wymusić przeobrażenie głównych nurtów politycznych. Polegałoby to na odrzuceniu przez poszczególne partie starych programów i metod działania oraz stworzeniu nowych ekip kierowniczych. Lampe wyraźnie na przykład precyzował potrzebę walki „o odbudowę Stronnictwa Ludowego na nowych zasadach”.

Koncepcje Lampego odnośnie przeobrażeń życia politycznego w Polsce zbliżone były z poglądami Stalina. Stał się on swoistymi dyrektywami dla kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej.

Ich realizacja napotkała jednak na duże trudności, głównie w środowisku socjalistów i ludowców, co było zaskoczeniem dla części kierownictwa PPR. Trafnie przewidywane przez Lampego jawisko kryzysu organizacyjnego starych ugrupowań politycznych nie wywołało oczekiwanych skutków, tj. deprecjacji owych ugrupowań w oczach polskiego społeczeństwa. Wręcz przeciwnie — autorytet ruchu ludowego i socjalistycznego uległ wzmocnieniu. Nie zdezaktualizowały się również stare programy tych partii. Ewolucja postaw politycznych Polaków po klęsce wrześniowej zdawała się wskazywać, że wysuwane przez ludowców i socjalistów hasła Polski Ludowej ma poparcie społeczne i jest bliskie powojennej realizacji. Nie spełniły się wręcz oczekiwania, iż wojna i okupacja podetną autorytet starych przywódców głównych partii politycznych.

W tej sytuacji niezwykle trudno było zrealizować podstawowe założenie komunistów, iż ich dominująca pozycja w życiu kraju zostanie zaaprobowana przez inne kierunki polityczne. Tymczasem takie nadzieje w środowisku rewolucyjnej lewicy w ZSRR zdawały się przeważyć. Opierały się one na przekonaniu, że przyjęta przez komunistów taktyka walki o władzę w Polsce zgodna jest z nowymi elementami warunkującymi rozwój sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej oraz spełnia zalecenia Stalina i Dymitrowa.

Według Lampego, „ogólnoeuropejska sytuacja nie postawi na porządku dziennym sprawy rewolucji, a sytuacja polska nie zawiera elementów, które by pchały do rozwiązań z końca tamtej wojny — należy dać nowe wyjście z tej wojny i nową perspektywę”. Tą perspektywą na pewno nie miała być ingerencja ZSRR, na którą — jak dostrzegł Lampe — niektórzy liczyli: „wszelka ingerencja zewnętrzna musi wywołać w Polsce ogromne sprzeciwy, opory i walkę, co z kolei zmusiłoby do coraz bardziej stałej ingerencji”. Ową perspektywą miało być natomiast ukształtowanie przez kraj własnych dróg rozwojowych, unarodowienie wielkiego przemysłu, restytucja średniej i drobnej własności, reforma rolna, a więc metoda „kroków do socjalizmu”, ostrożnego stopniowania bardziej istotnych przeobrażeń ustrojowych. „Teoretycznie jest możliwa, a w każdym razie nie jest wykluczona — pisał Lampe w „Notatkach” — możliwość ewolucji gospodarczo-politycznej Polski w kierunku socjalistycznym, drogą pokojową bez wojny domowej, a nawet bez przymusowej ekspriopracji tego, co w Polsce zostało z burżuazji”. Lampe zmarł nagle 10 grudnia 1943 r.

Z jego głównymi tezami są zgodne wszystkie dokumenty programowe opracowane w środowisku komunistów polskich w ZSRR, jak również publikacyjka ZPP. Zamiarem było pokazanie, że w Polsce nie nastąpią radykalne przeobrażenia ustrojowe, że obawy przed sowietyzacją i skomunizowaniem Polski są absurdalne. Taktykę takiego działania popierał Stalin. Wspomina o tym Wasilewska na przykładzie kształtowania się w środowisku komunistów koncepcji reformy rolnej: „Wiem, że na temat reformy rolnej była niejedna rozmowa ze Stalinem,

bo najpierw omawiano sprawy ogólne, a później szczegółowo i drobiazgowo na podstawie pewnego materiału, który przynosił mi ze sobą. [...] Stalin wniósł poprawkę dotyczącą nacjonalizacji dóbr kościelnych. Zwrócił uwagę na to, że w katolickiej Polsce konfiskata dóbr kościelnych może wywołać duże oburzenie i nie należy od tego zaczynać. Pamiętam, że stanowisko Stalina odnośnie ziem poklasztornych i dóbr kościelnych bardzo nas zaskoczyło, bo ja wcale nie wiem, czy w sytuacji, kiedy kler polski uważał, że z chwilą przyścia Czerwonej Armii wezmą go za gardło i w ogóle, to czy ograniczenie własności kościelnej wywołałoby wstrząs i taki protest”.

Projektowane w środowisku komunistów w ZSRR reformy nie wykraczały poza powszechnie akceptowany program demokratyczny. Czy był to jednak program docelowy? Odpowiedź musi być negatywna. Nie ukrywa tego jeden z czołowych działaczy ZPP, Jakub Berman, który we wspomnieniach po latach pisał: „Nie ulega wątpliwości, że nikt z nas we wszystkim, co robiliśmy, ani na chwilę nie gubił perspektywy hegemonii klasy robotniczej i kierowniczej roli naszej partii, niezależnie od elastyczności sformułowań, które w tych czy innych dokumentach występowały. Mam wrażenie, że pod tym kątem trzeba te dokumenty analizować”.

Według Bermana, komuniści polscy w ZSRR, modelując zasięg przeobrażeń gospodarczych, społecznych oraz zasady współpracy różnych ugrupowań politycznych w powojennej Polsce, wykazywali większą elastyczność od swych partnerów w kraju. Wynikała ona jednak głównie z bardziej przemyślanych założeń taktycznych walki o władzę, popartych autorytetem (akceptacją) J. Stalina.

Sprawy programowe stały się nawet przedmiotem pewnych sporów i kontrowersji między CBKP a kierownictwem PPR w kraju. Problemy te poruszono w liście do KC PPR z kwietnia 1944 r. Szczególną uwagę zwrócono tam na potrzebę podjęcia przez PPR działań dla politycznego zneutralizowania części burżuazji oraz szerokiej rzeszy drobniomieszkaństwa, które obawiały się zaprowadzenia w Polsce komunizmu. Zdaniem CBKP, względy taktyczne wymagały wręcz rezygnacji przez PPR z hasła Polski Ludowej i nacjonalizacji przemysłu. Uzasadniały natomiast wprowadzenie gwarancji indywidualnych własności ziemi oraz inicjatywy prywatnej w drobnym przemyśle i handlu. Miało to rozproszyć obawy społeczeństwa i różnych grup demokratycznych przed komunistami.

Jak wspomniano, taką koncepcję działania zalecał polskim komunistom Stalin. Obecny stan poznania fródel pozwala wywnioskować, iż stanowił on pewną czynnik inspirujący i restrukturyzujący taktykę i strategię powojennej walki o władzę w Polsce. Jego stanowisko ważyło w istotny sposób na przyjętych po 22 lipca 1944 r. rozwiązaniach systemu politycznego Polski. W dość niezwykłych okolicznościach potwierdził to Jakub Berman. W 1950 r., na naradzie aktywu PZPR w Komitecie Centralnym partii, szytuwany słankami poszczególnych mówców na politykę Władysława Gomułki z lat 1944—1945, powiedział: „Podstawowa linia Partii w latach 1944, 1945, 1947 była słuszną. [...] Zasadnicze pociągnięcia tego okresu były pobierane za radą i przy pomocy tow. Stalina i nie było nic w tym okresie, co byłoby sprzeczne z jego intencją w sprawach wielkiej wagi, naturalnie nie mówię o drobiazgach”.

Wspomniany na wstępie problem sporów gen. Berlinga z Wandą Wasilewską i grupą komunistów miał, poza różnicami programowymi, podłoże ambicjonalne. Berling uwierzył, że posiada intelektualne i formalne podstawy do kształtowania przyszłego programu politycznego. Jego koncepcję podzielał Jakub Prawin i Włodzimierz Sokorski. Program ten zawarto w doku-

mencie popularnie nazywanym „Tezami nr 1”.

Dokument ów dość jednoznacznie opowiadał się za istnieniem w przyszłej Polsce jednego obozu politycznego („zorganizowanej demokracji”), którego wyrazicielem powinien być silny rząd. Demokracja zorganizowana rysowała się jako narzucony społeczeństwu ustrój stworzony i kierowany przez wojskowe centrum polityczne, a udział społeczeństwa w życiu politycznym miał się sprowadzać do akceptacji działań kierownictwa kraju. Polsce miała więc zostać narzucona dyktatura wojskowa Berlinga bądź — w wersjach Prawina i Sokorskiego — dyktatura komunistyczno-wojskowa. Koncepcje te wywołały ogromną dyskusję w środowisku komunistów. Oznaczały one bowiem likwidację partii komunistycznej jako formacji ideologicznej. Jej miejsce miało zająć monopartia oparta na akceptacji programu rządu.

Ta proklamacja polityczna Berlinga została potępiona i poderwana jego pozycja. Komuniści wzmocnili pracę polityczną w wojsku. Generał Berling, według Leona Chajna, doszedł do wniosku, „że nie powinien opierać się na polskich ale na radzieckich komunistach”. Usiłował przy pomocy Heleny Usijewicz, „która była osobą bardzo wprowadzoną i dobrze widzianą w środowisku radzieckich komunistów, zdobyć pewne względy tego środowiska. Rozmowy te odbywały się w czasie, kiedy byliśmy jeszcze na terenach okupowanych w okolicach Kowla, posuwając się w kierunku Polski. [...] Z czasem stwierdziłem, że pomiędzy Wandą Wasilewską a Berlingiem panują nie najlepsze stosunki. Dochodziło często do dużych spięć, a spotykało się to z zadowoleniem a nawet poparciem ze strony Usijewicz. Obie panie nie darzyły się wzajemną sympatią. Dwie Polki na wysokich stanowiskach, mające duży wpływ na wiele spraw, nie mogły ułożyć wzajemnych stosunków. [...] Moje stosunki z Berlingiem opierały się na życzliwej znajomości. Berling — jak łatwo zauważyć — po przybyciu do Chelma zmienił zasadniczo swoją postawę [...]. Był wstrząśnięty faktem, że naczelnym dowódcą został Michał Rola-Żymierski, a nie on, co miał jakoby obiecać w rozmowach ze Stalinem. Z wizją stanowiska naczelnego dowódcy Polski szedł od Lenina do Lublina. Wyczuł to AK-owcy w Lublinie, w końcu sierpnia czy na początku września ukazała się wiadomość o odezwie: „Generale wróć do nas”. AK-owcy podsycali ambicję generała Berlinga i usiłowali zjednać go dla siebie. Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy na jakimś konspiracyjnym zebraniu AK-owskim pojawił się adiutant Berlinga, płk Szpac, weteran, który miał go tam jakoby reprezentować. To wszystko określało stosunek partyjnego kierownictwa do Berlinga, który czuł się bardzo osaczony. Berling skierował co najmniej jedno, a może i więcej pism do Usijewicz, przedstawiając sytuację w Polsce bardzo krytycznie i prosząc ją o interwencję u Stalina i władz radzieckich w sprawie ochrony jego osoby i zapewnienia mu właściwego stanowiska”.

Ostatecznie karierę Z. Berlinga przekreśliła depeza, którą wysłał do Stalina: „Błągam Was ratujcie Polskę dla Związku Radzieckiego z rąk szajki trockistowskich agentów międzynarodowego bandytyzmu”.

„Jak się dowiedziałem — wspomina L. Chajn — Stalin odesłał tę depezę Bierutowi i sprawa stała się znana w kierownictwie. Powołana została nawet specjalna komisja PKWN pod kierownictwem Drobnera w celu rozpatrzenia tej sprawy. Biorąc pod uwagę ustalenia, komisja podjęła decyzję o skierowaniu Berlinga do Akademii Wojskowej w ZSRR. [...] Był to chyba gruczeń 1944 r. i w Brześciu na dworcu spotkałem Berlinga udającego się do Moskwy. Berling był w bardzo ponurym nastroju. Kiedy zapytałem — dokąd jedzie, odpowiedział — na banicję”.

(cdn.)

Trochę wspomnień.

Jest rok 1979. W Krakowie odbywają się „Reminiscencje”, w swoim założeniu podobne do „Konfrontacji Młodego Teatru”. Lubelskie środowisko teatralne reprezentują: „Provisorium” oraz „Grupa Chwilowa”. W czasie trwania spotkań Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie, na wniosek KW w Lublinie, odwołuje zamknięte przedstawienia „Naszej niedzieli” Teatru „Provisorium”. Spektakl ten nie uzyskuje zgody lubelskiej cenzury na publiczną prezentację. Władze Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, którym podlega wówczas „Provisorium”, tworzą Radę Ideowo-Programową Akademickiego Centrum Teatralnego, mającą kontrolować działalność studenckiego teatru. Poznański „Teatr Osmego Dnia” nie może pokazać swojego spektaklu. Teatrom odmawia się wyjazdów za granicę, rosną konflikty z cenzurą, w prasie trwa nagonka na młody teatr, „Sztandar Młodych” oskarża go o „czarnowidztwo”, „belkot”, inne gazety dodają „destruktywną krytykę”.

Krzysztof Babicki odpowiada: „...jeżeli wśród ludzi ten teatr tworzących znajdują się jednostki gotowe do bezkompromisowego protestu przeciwko temu, co jest brutalną drwiną z potrzeb i praw ludzkich, jeżeli teatr ten potrafi przeprowadzić pozornie bezskuteczne sztuczne oddychanie sprawom, pojęciom i postawom zamierzającym, cynicznie spletanym, pracowicie odmłodzonym [...], jeżeli krzyczy NIE wbrew monstrualnemu entuzjazmowi, choć nie jest to łatwe, popularne i dyplomatyczne [...], jeśli przeciwstawia się sztańcem, oszustwu, degeneracji etycznej i artystycznej [...], to teatr ten musi istnieć własnym życiem, a nie wegetacją dworskiego komedianta [...]”. (Cyt. za: Aldona Jawłowska: „Więcej niż teatr”, PIW 1988).

Jest wiosna 1980 roku. W Lublinie trwają „Konfrontacje Młodego Teatru”. Chatka Zaka przeżywa niezwykle obciążenie. W dużej sali gra „Teatr Osmego Dnia”. Pamiętam pogodną twarz Marii Bechcyc-Rudnickiej, ze spokojem oczekującej na dotarcie do „bramki”, szumowanej przez tłumy pragnących obejrzeć „Ach, jakże godnie żyliśmy”. Pamiętam pierwsze słowa dialogu: „Nie ma Boga, nie ma. Nadzieja Krupskaja: Boga nie! Władimir Iljicz Lenin: Boga nie! Marks, Engels, Feuerbach — Boga nie ma. Jest — Tomasz z Akwinu, św. Augustyn — Bóg jest...”. A na górze, w małej salce, zamienionej na więzienną celę czy szpitalną izolatkę Teatr „Provisorium” opowiada historię „pacjentów”, mieszkańców „sali męskiej NN”, zamykającą się jednym zdaniem, słowami, którymi niegdyś Stalin zapragnął ukarać Mandelsztama: „Izolować, no sochranit...” Spektakl „Nie nam lecieć na wyspy szczęśliwe” uzyskuje główną nagrodę „Konfrontacji”.

Jest rok 1983. W Teatrze „Provisorium” powstają „Wspomnienia z domu umarłych” oparte na książce Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, zatytułowanej „Inny świat”. W jego „Dzienniku pisanym nocą” odnajdujemy pod datą 11 października następujące wspomnienia: „Wczorajsze spotkanie w Rzymie [...]. Znaleźliśmy ustronne miejsce w sąsiedztwie tablicy Keatsa. Wyciągnął z plecaka kilka dużych fotografii i wręczył mi je bez słowa wyjaśnienia. Oglądałem je uważnie, domyślając się, że są zdjęciami jakiegoś spektaklu teatralnego. [...] Odbyło się tylko jedno przedstawienie, władze uznały imprezę za godzącą w nasze sojusze. [...] Zostałem sam z fotografiami, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia i wzruszenia”.

Jest rok 1988. Po pięciu latach cenzura wyraża zgodę na publiczną prezentację „Wspomnień z domu umarłych”. W zapelnionej po brzegi sali „Teatru Studyjnego” odbywa się oficjalna premiera przedstawienia.

Wspomnienia z domu umarłych.

Rozpoczyna się przedstawienie; kiedy wchodzimy do sali już trwa. Aktorzy w wojskowych szynelach przechadzają się wśród nas, obrzucając każdego uważnym spojrzeniem. Jesteśmy w zamkniętej przestrzeni. Głośno światło, słyszymy początek opowieści: „Tu otwierał się inny świat, do niczego niepodobny, tu panowały inne, odrębne prawa, inne obyczaje, inne nawyki i odruchy; tu trwał martwy za życia dom, a w nim życie jak nigdzie i ludzie niezwykli. O tym zapomnianym zakątku zamierzamy teraz opowiedzieć...”

Obraz pierwszy to cela więzienna. Jej mieszkańcy, wystraszeni i niepewni, z

trudem rozpoznają przedmioty, będące niegdyś ich radością, dziś symbole pustki i samotności. Krawat, biały kołnierzyk wizytowej koszuli, pusty flakonik po perfumach, pudełko bez tabaki, guzik z orzełkiem, wyblakła fotografia, druciane okulary. Mówią o tęsknocie do swoich kobiet, książek, obrazów, chleba, żygulowskiego piwa. Jeden z nich pochodzi z Woroneża. Student politechniki w Moskwie, z polecenia partii przerywa studia, by wstąpić do akademii morskiej we Władywostoku. Drugi jest Żydem z Witebska, skazanym na 10 lat za odmowę użycia skrawków skóry do zelowania nowych butów. Trzeci nazywa się Rusto Karinen. Jest tu przypadkiem, oskarżony o współudział w spisku, specjalista od wbijania przesłuchiwanym igiel pod paznokcia, kopania ich w jądra.

Obraz drugi nazywa się transport. Bydłace wozą ludzi w niezna-

bliższych. Listu, który nigdzie nie dojdzie.

Obraz ósmy nazywa się przymusowa praca. Jeden przenosi blaszane wiadra, drugi ciężko wchodzi na podest. Sprawdzi się zasada: „kto nie pracuje, ten nie je”. Oni pracują. I tęsknią za chlebem.

Obraz dziewiąty nazywa się głód. Stoją w kolejce po porcję zupy. Stoją przed nami w milczeniu, trzymając w rękach małe, blaszane miseczki. Spragnieni miłości, ciepła, dotyku kobiecego ciała. Stoją wynędzniali. Jeden z nich znajduje kobiecą halkę, ślad ludzkiej miłości i pożądania. A później słyszymy słowa znanej modlitwy: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami...”

Obraz dziesiąty nazywa się modlitwy. Jeden z nich klęka przy swoim kuferku. Znowu rozlegają się słowa: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny...” Drugi zapala dwie świece. Oplakuje swoje cierpienie: „Błażeni mi-

wędrowki donikąd. Ta wędrowka opowiadana była przez gest: oszczędny, może niekiedy przerysowany; ilustrujący tekst, ale także komentujący, dokonujący przekładu, wyrażający przesłanie. Opowiadano je słowem. Słowem biorącym w ochronę biedne, człowiecze życie. Słowem nie zawsze mówionym starannie i wyraźnie, ale to kwestia aktorskiej pracy. Ważne jest jednak, że oto zobaczyliśmy teatr słowa, w czasie, kiedy we współczesnym teatrze jest ono zastępowane, usuwane, zastępowane przez rozmaite „środk” gestyczne, scenograficzne i muzyczne.

Wspomnienia z umarłego za życia domu opowiadano także milczeniem. Milczenie jest przecież jeszcze jednym, ważnym składnikiem tego spektaklu. Kiedy mówię się o cierpieniu, umieraniu, nadziei, słowo może być nieaktorem. Wtedy milczenie przejmuje jego funkcję.

ŁAGRY NA SCENIE

TEATR WYRZECZENIA

Waldemar Sulisz

ne, głosy wołania o pomoc gasną niczym zapalka zapalona przez jednego z aktorów. Nie wiedzą, jak nazywa się ostatnia stacja.

Obraz trzeci nazywa się miasto cierpienia i miasto śmierci. Po wymarłych ulicach przemyka samotny pies. Gdzieś z uchylonych drzwi dochodzi muzyka. Widzimy przed sobą kalekiego żołnierza; utykając, salutuje co krok. Za nim obłąkany noony stróż czyści bezustannie swój modlitewny dywanik. Ten trzeci w tanecznym ruchu obnosi kramik ze starymi koszulami, sukienkami, krawatami. To miasto nazywa się Witebsk.

Obraz czwarty nazywa się obóz. Z trudem rozpoznajemy postacie aktorów. Jeden z nich znajduje więzienne numerki, jedyny ślad ludzkiego istnienia.

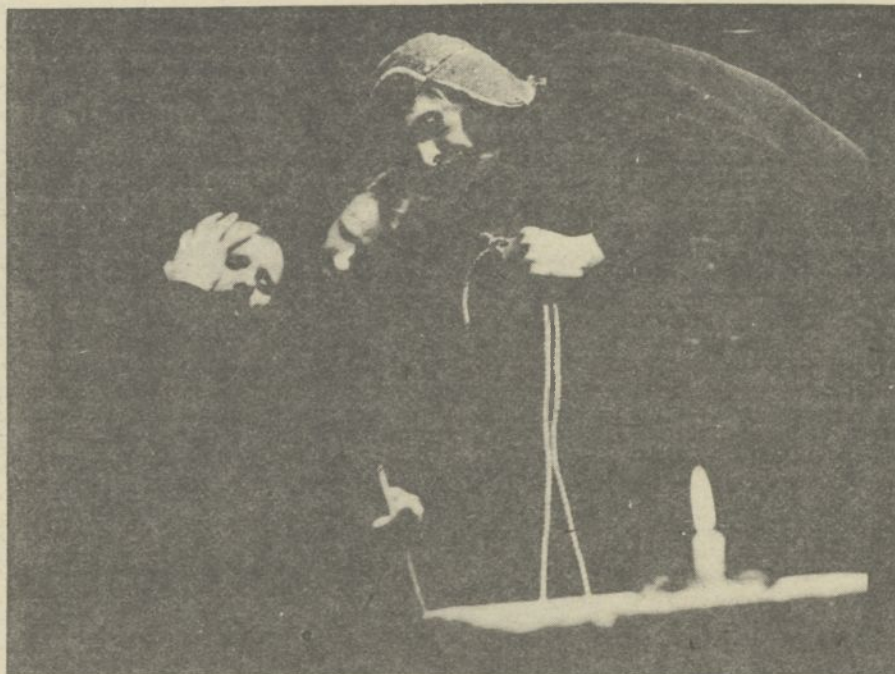
Obraz piąty nazywa się ucieczka. Za szybą przemarznięta twarz. Ten drugi tuli do serca pusty kufer. Trzeci ma pieniądze i złoto, chce przejść za Bug. Śpiewają słowa modlitwy, a może wołania o pomoc. Z tego śpiewu dochodzą nas słowa: „umierali nagle, jak ptaki spadające w czasie mrozu z gałęzi, albo raczej jak głębinowe ryby oceaniczne, które pękają od wewnętrznego ciśnienia, gdy je spod wielu atmosfer wody wydobyć na powierzchnię. Jedno krótkie kaszlnięcie, ledwie dosłyszalne zakrzuszenie się i koniec. Małeńki, biały obłoczek pary zawisł na chwilę w

łostwi, jako ti po milowaniu bydety, Błażeni krotieni, Błażeni czisti...”

Obraz jedenasty nazywa się nocny strach. Scenę rozświetla blade światło więziennej żarówki. Jeszcze tylko dwa lata, jeszcze tylko dwa miesiące, jeszcze tylko dwa tygodnie. Słychać odgłosy jęków, sapania. Oni układają się do snu.

Obrazy następne nazywają się szpital, teatr, łaźnia. W bieli prześcieradeł czuje się śmierć. Aktorzy wtulają się w nie z ufnością. Marzą, by tak pozostać. Za chwilę uspokojeni więźniowie zaczynają grę. Spotykają się przy sklepiku. Ze wzruszeniem oglądamy ten teatr: „A cóż macie w waszym sklepiku? Wszystko, czego twa dusza zapragnie: wódka, piwo żygulowskie, jerez. A kielbasę końską macie? Jest. No to pod tą kielbasę”. Rozlega się pieśń: „Rozkminulos morie sziroko, I wołny buszuju na nim, Towariszcz, my jediem dalioko. Po dalsze ot ruskoj ziemi...” Kończy się dzień wolny od pracy. Dzień w domu umarłych.

Obraz ostatni nazywa się oczekiwanie na wolność. Wstaje kolejny, szary, przeklęty dzień. Nasłuchują. Słychać odgłosy strzałów. Wyprowadzili więźniów sąsiedniej celi. Na wolność... Przed nami zapala się reflektor. Świeci prosto w oczy. W tle trzech aktorów. Stoją twarzami do nas. Pochyleni, z grymasem bólu na twarzy. Nieruchomi.



Fot. Witold Rusin

powietrzu. Głowa opadała ciężko na piersi, ręce zaciskały kurczowo dwie kule śniegu. I nic więcej. Ani jednego słowa. Ani jednej prośby...”

Obraz szósty nazywa się kolejny transport. Jest znów portretem umęczonych twarzy.

Obraz siódmy jest pisaniem listu do domu. Listu, który idzie długo, latami, a przecież nie ma w nim najmniejszej skargi. Tylko słowa pociechy dla naj-

Tak kończą się wspomnienia. Z martwego za życia domu. Zapomnianego zakątką człowieczego cierpienia.

Teatr wyrzeczenia.

Ten spektakl z trudem poddaje się ocenie. Stąd może moja postawa oudzyslowu, zamiast zapisu przedstawienia — starałem się „cytować” obrazy dramatyczne, a może stacje ludzkiej

Aktorzy byli bardzo blisko nas, słyszeliśmy ich oddech, wysiłek, słuchaliśmy ich mowy. We współczesnym teatrze uderza coraz częściej nieobecność człowieka. Aktor wypierany jest przez lalki, manekiny, maski, rzeźby. Jesteśmy świadkami teatru inscenizatorów, którzy w fałszywym poczuciu wstydu pragną ukryć niedoskonałych w ich mniemaniu aktorów, skrywają ich w cieniu dekoracji, zastępują ich głos odtwarzaną z taśmy mechaniczną muzyką. Wśród rozmaitych rozwiązań, wymyślanych wespół ze scenografem i akustykiem aktor bywa intruzem. A przecież teatr jest wciąż opowieścią o ludzkiej „kondycji”.

Trzech aktorów Teatru „Provisorium” rozgrywało poszczególne „stacje” ludzkiego udręczenia w teatralnej przestrzeni, precyzyjnie obmyślanej, starannie rysowanej światłem prowadzoną przez reżysera. Wykorzystał on jej plan horyzontalny i wertykalny. W pierwszym odbywały się sceny więziennej egzystencji, obozowej codzienności, głodu, choroby, teatru, łaźni. W drugim rozgrywano obrazy marzenia, nadziei, tęsknoty za miłością, kobietą, uspokojeniem i obrazy modlitwy.

Spektakl „Wspomnienia z domu umarłych” był dialogiem. Aktorów z nami. Aktorów z historią. Był także rozmową z autorem tekstu, który na taką rozmowę czekał długo.

Więcej niż teatr.

W jednej z najpiękniejszych książek o teatrze, wydanej przez Wydawnictwo Literackie w 1986 roku, zatytułowanej „Teatr jest światem”, której autorami są Andrzej Hausbrandt i Gustaw Holoubek, pada pytanie, czym jest teatr dla świata, dla ludzi, niezależnie od kultur, ras i religii. Odpowiedzią jest cała książka. Ale już na początku odnajdujemy takie stwierdzenie: „Już samo to, że teatr był tylekroć prześladowany, niszczone, przekupywany, że poddawano go naciskom, cenzurom, gwałtom, świadczy, że zarówno jego miejsce jak i skuteczność oddziaływania musiały być, a i są zapewne nadal, niepośledniej rangi. [...] Zresztą gdy teatr słabł, wówczas — jak poucza nas historia — dawano mu spokój. Zostawiono na uboczu i tam konformistyczny, adaptowany do nowych warunków, liżąc swoje rany i cudze stopy, powoli podnosił się z kolaj. Gdy zaś stanął na dobre, gdy się ludzie nacieszyli z nowo odnalezioną zabawki, kołomyjka zaczynała się od początku. Był zbyt silny. Silny? Czym? W jakiej sferze? Materialnej czy duchowej? Politycznej, społecznej, moralnej, ideowej...?”

Zostawmy ostatnie pytania bez odpowiedzi. Odpowiedź jest w spektaklu Teatru „Provisorium”.

Teatr „Provisorium”: „Wspomnienia z domu umarłych”. Realizacja zespołowa według książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Inny świat”. Spektakl zrealizowany w 1983 roku. Oficjalna premiera w Teatrze Studyjnym, 10 grudnia 1988 roku. Reżyseria Janusz Opryński. Aktorzy: Jacek Brzeziński, Andrzej Mathiasz, Jan Maria Kłoczowski.

WRUBRYCE tej pragniemy informować o najciekawszych zdarzeniach kulturalnych, mających miejsce w naszym regionie.

Liczymy bardzo i na Twoje pióro, telefon (233-88).

Inauguracja „Przeglądu artystycznego” jest trochę nietypowa. Zwróciliśmy się bowiem do kilku osób, prosząc o wskazanie

CO BYŁO WYDARZENIEM CO BYŁO „KNOTEM” W 1988 R.

w interesującej ich dziedzinie życia kulturalnego w regionie. A to po to, by „rozliczyć się” z rokiem minionym, ale też by wyciągnąć naukę na rok niedawno rozpoczęty.

Mówią:

IRENEUSZ CABAN, dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego:

— Niewątpliwym wydarzeniem roku była książka Romana Wapińskiego „Dmowski”, poświęcona założycielowi, przywódcy i głównemu ideologowi Na-

rodowej Demokracji. Nie licząc pracy Andrzeja Micewskiego (1971 r.), jest to pierwsza w naszej historiografii pełna próba ukazania Romana Dmowskiego jako człowieka i polityka. Z tym większą satysfakcją mówię o tej pozycji, gdyż inicjatywa jej wydania wyszła z naszej strony, myśmy tę biografię niejako wywołali. Przy okazji: wysokość nakładu (5 tys.) okazała się dalece niewystarczającą, lecz limitowani byliśmy zamówieniami z „Domu Książki”. Wszystkich, którzy odeszli od lady z przysłowiowym kwitkiem, pragnę pocieszyć, że już w lutym 1989 r. ukaże się drugie wydanie tej pozycji.

Osobisty stosunek mam również do książek, które wydajemy w serii „Wspomnienia ludzi nauki”, w tym m. in. Czesława Bobrowskiego „Wspomnienia ze stulecia”, Jana Ernsta „Dwie linie życia”, Mariana Tyrowicza „W poszukiwaniu siebie”.

Pyta pan o „niewypał” 1988 r. ... Długo i namiętnie można by dyskutować, która książka jest dobra, która zła i dlaczego. Jeden z klasyków powiedział: „Żadna książka nie jest aż tak zła, aby pod jakimś względem nie przynosiła pożytku”. I ja się z nim zgadzam.

(Z.D.)

JERZY KOSTKA, plastyk, właściciel galerii „Nova” w Lublinie przy ul. Grodzkiej:

— W mojej opinii na miano wydarzenia plastycznego zasłużyły wystawy Jana Lebensteina (styczeń) i Jerzego Nowosielskiego (luty) w Galerii Sztuki Plastycznej KUL. Nazwiska, oczywiście wsparte prezentacjami, mówią sa-

me za siebie. I jeszcze jedno: do niezwykle rzadkości należy obecność Nowosielskiego na wernisżu, a to właśnie miało miejsce w Lublinie. Do ważnych zdarzeń, a interesujących również dlatego, że miały początek i finał w Lublinie, zaliczyłbym prezentację w salnie „Sztuki Polskiej” malarstwa Mariusza Drzewińskiego, Donata Kowalskiego, Zbigniewa Woźniaka i Walentego Wróblewskiego z Instytutu Wychowania Artystycznego. Był to taki nasz „mały Arsenał” i oby tylko znalazł kontynuatorów. Dobrze słowo należy się także autorom retrospektywnej wystawy jednego z najbardziej lubelskich malarzy — Edwarda Nadulskiego.

Teraz mogę powybrzydzać... W związku z tym, że szczególnie bliska jest mi grafika, bacznie obserwuję to, co dzieje się w Małej Galerii Grafiki. I tam właśnie dopatrywałem się sła- biej wystawy lublinianki p. Bałdygi, jak również prezentującej niski poziom „Grafiki włoskiej”. Mam też wątpliwość, czy BWA powinno zgodzić się

na przyjęcie miernych przecież prac kanadyjskich artystów. Choć za otaczających nas niedostatków najgłośniejszym wydaje mi się brak konsolidacji środowiska plastycznego oraz niski poziom odbiorców, co objawia się w obojętności lub wręcz we wrogości do sztuki.

(V.K.)

TERESA KSIĘSKA, dyrektor Szkoły Muzycznej im. K. Lipińskiego, krytyk:

— Spodziewam się, że moja odpowiedź nie wszystkim się spodoba, ale skłono to do mnie skłoniamy pytania, odpowiem zgoła z przekonaniem.

Tak więc na pewno wydarzeniem minionego sezonu muzycznego były dwie symfonie w wykonaniu filharmoników lubelskich pod dyrekcją Adama Natanka — VIII Beethovena i IV „Wiosna” Mendelssohna. Precyzja, profesjonalna mądrość, wrażliwość, oto, w telegraficznym skrócie, co dało się usłyszeć. Powód do dumy i satysfakcji, a jednak! — wbrew panującej inercji i spoglądaniu na boki.

Innego typu wydarzeniami, bardziej w ramach prestiżu i widowiska, były: majowy recital Stanisława Bunina, zwycięzcy ostatniego Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie (w programie utwory Bacha, Schumanna i Chopina) oraz koncert autorski Krzysztofa Pendereckiego. Bunin zadziwił kontrowersyjnością muzycznych kreacji, Penderecki potwierdził, iż jest człowiekiem sukcesu w każdym calu i momencie.

Artystyczny „knot”? Za taki uważam stosunek niemal całego pedagogicznego środowiska muzycznego Lubli-

na do tego, co dzieje się w mieście, filharmonii i poza nią. W tym sezonie opadły ostatnie piórka — zakręlowała pasywność, marazm i wygodnictwo. Dlaczego? Nie, nie będę silić się na odpowiedź, niech pozostanie ona moją prywatną własnością — w końcu każdy ma życie na miarę potrzeb (tych duchowych oczywiście!) i wyobraźni.

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI, krytyk teatralny, w 1988 r. dziennikarz „Sztandaru Ludu”:

— Jeszcze rok temu powiedziałbym, że wydarzeniem jest to, iż w Lublinie narodziła się teatralność, rozumiana jako oferta i reakcja na tę ofertę. A że sytuacja ta stała się już normą, to i zachwytem nie podlega.

Co więc uważam za wydarzenie teatralne? — odnosząc to pytanie do tego, co działo się na scenach. Odpowiedź jest dość łatwa, bowiem wydarzeń było niewiele, mniej niż w 1987 r. W teatrach instytucjonalnych mam dwa typy: „Mandat” M. Erdmana w Teatrze im. Osterwy, w reżyserii A. Rozhina i „Dziewczynkę z ryżowych pól” A. Swirszczyńskiej w Teatrze Lalki i Aktora, przedstawienie reżyserowane przez T. Jaworskiego. Spróbuję uzasadnić „Mandat” ceną za wartość roboty teatralnej (to co nazywa się inscenizacją), ale i za katalog ról, i za plan myślowy tego przedstawienia. Rozhinowi udało się pokazać nie tyle filistrów, którzy trzęsą portkami, gdy wiać zaczyna wiatr historii, ile ludzi, którzy nakładają błazeńskie czapki, by uchronić się przed teje historii okrucieństwem. Natomiast jeśli chodzi o „Dziewczynkę...” Najkrócej: gdybym był dzieckiem, oglądałbym to przedstawienie zauroczony bańką, co sprawdziłem na własnych i obcych dzieciach. A że oglądałem jako dorosły, z pretensją do pewnego rozmakowania, to dałem się zauroczyć perfekcją teatralnej roboty. Jest to krytycznie czysta realizacja — mamy przykładowe wręcz prowadzenie lalki, a Teresa Targońska jakże przekonująco dowiodła, że przy pomocy monochromatycznych parawanów wyczerować można i gaj bambusowy, i morze, i drogę: urodę świata i urodę sceny.

W obszarze teatru alternatywnego nowych realizacji nie było. Natomiast wydarzeniem stało się oddajenie przedstawienia Teatru Provisorium „Inny świat” wg Herlinga-Grudzińskiego, o którym piszemy w tym numerze.

Z ubiegłorocznego importu najwyżej cenę „Nominatae Filiae” za sceniczne wizjonerstwo.

Za teatralne niespełnienie uważam — bliską mi emocjonalnie i obywatelsko — „Gałązkę rozmarynu” w Teatrze im. Osterwy, zaś spektaklem najgorszym był ten, który przywiózł Teatr Mandala na lubelską „Jesień teatralną”.

(z)

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:
26.01—29.01 godz. 18: „Szwajcaria” Christa Bojczewa; reż. Georgij Czerkewłow.

Teatr Lalki i Aktora:
26.01—27.01, 31.01—01.02 godz. 10: „Rumcajs” Ernesta Brylla; reż. Wojciech Kobjzyński.
28.01—29.01 godz. 12: „Don Zan”, anonim czeski, reż. Tomasz Jaworski.

W CHELMIE

26.01—28.01 Czwarty Ogólnopolski Turniej Recytatorów i Teatrów Małych Form „Źródło”. Uroczyste otwarcie o godz. 15 w sali widowiskowej WDK.
26.01 godz. 17: „Jest już za późno, nie jest za późno” — monodram w wykonaniu Elżbiety Jabłońskiej, aktorki Teatru im. Siemaszkowej w Rzeszowie. Piosenki będzie śpiewał Maciej Michalski (KMPIK ul. Lubelska 59).
30.01 godz. 11: „Portret kobiety” — monodram w wykonaniu Ireny Jun oraz spotkanie z miłośnikami żywego słowa (MDK).
01.02 godz. 14, 16.30: „Tkliwa historia na gruzach” — monodram w wykonaniu Marka Bartkowicza. Po spektaklu odbędzie się spotkanie z aktorem i reżyserem Edwardem Wojtaszkiem.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 27.01 godz. 19, 28.01 godz. 18: koncert symfoniczno-operytkowy. W programie „Wesoła wdówka” Ferenc Lehara. Wystąpią artyści Teatru Wielkiego w Łodzi: Delfina Ambroziak (sopran), Tadeusz Kopacki (tenor), Sylwia Maszczyńska (sopran), Jan Kunert (tenor). Orkiestrą dyrygować będzie Kazimierz Kryza. Słowo o muzyce — Stefan Münch.
29.01 godz. 18: występ „Collegium Musicum” — chóru mieszanego z Lublina pod dyrekcją Zofii Bernatowicz. Soliści: Elżbieta Bagińska — sopran, Teresa Ksińska — fortepian.

PLASTYKA

W LUBLINIE

Do 15.02 w Muzeum im. J. Czecho-wicza czynna będzie wystawa pokonkursowa pt. „Grafika Roku 88” (ul. Narutowicza 10).
Do 18.02 w Galerii BWA, ul. Narutowicza 4, czynne będą wystawy: — rysunków Walentego Wróblewskiego — rzeźby Jana Stanisława Wojciechowskiego.
Do 28.02 w Muzeum na Zamku czynna będzie wystawa medalierstwa poświęcona pontyfikatowi Jana Pawła II.
Do 28.02 w Galerii „Labyrinth” ul. Grodzka 3 czynna będzie wystawa instalacji Janusza Bałdygi pt. „90°”.
31.01 godz. 18: otwarcie wystawy rzeźby łódzkiego artysty Zbigniewa Dudka — Galeria BWA, ul. Grodzka 5a.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Do 12.02 w BWA czynna będzie wystawa rzeźby „Hajnowka 88”.

W CHELMIE

W sali lustrzanej WDK do 15.02 czynna będzie wystawa prac chełmskich plastyków.

W ZAMOŚCIU

Do 03.02 w BWA czynna będzie wystawa malarstwa Ludwika Jabsztosa.
Do 31.03 czynna będzie wystawa pt. „Pocztówka zamojska” (Arsenał, ul. Zamkowa 2).

FILM

26.01 godz. 17, 27.01 godz. 15: studium wiedzy o filmie prowadzi Leon Bukowiecki (MDK Biała Podlaska).

ROZRYWKA

KRAŚNIK FABRYCZNY

01.02 godz. 17, 19: recital Tadeusza Rossa pt. „Życie przerosło kabaret” (Zakładowy Dom Kultury).

A. W.

Z KSIĘGARNI

W tym miejscu pragniemy prezentować Państwu najbardziej wartościowe — naszym zdaniem — nowości wydawnicze, które wypatrzymy w lubelskiej księgarni nr 1 „Domu Książki” przy Krakowskim Przedmieściu.

Clive Staples Lewis: „Siostrzeniec czarodzieja”, Instytut Wydawniczy PAX, 350 zł. Powieść z czasów — jak pisze autor — gdy „Sherlock Holmes mieszkał wciąż na Baker Street, a Bastable’owie poszukiwali skarbu...”.

Zbigniew Zaklewicz: „Kraina Sto Piątej Tajemnicy”. Czytelnik, 690 zł. Współczesna powieść przygodowa.

Encyklopedia Szkolna — Matematyka, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, 2500 zł. Rzetelnie przygotowane i starannie wydane kompendium matematycznej wiedzy.

POEZJA

Andrzej Bursa: „Luiza i inne utwory”, MAW, 360 zł.

Bertold Brecht: „Postylla domowa”, przekład R. Stillera, PIW, 500 zł.

„Okno otwarte na sad”. Wydawnictwo „Współpraca”, 520 zł. Antologia współczesnej poezji radzieckiej.

DRAMAT

Jerzy Szaniawski: „Wybór dramatów”, Ossolineum, 600 zł.

Ogniem Lakićević: „Antologia współczesnego dramatu jugosłowiańskiego”. Wyd. Łódzkie, t. I/II 1250 zł.

PROZA

Marla Kunciewiczowa: „Leśnik”, KAW, 450 zł. Wydanie VI.

Aleksander Woronński: „Okno tyklonu”. Wyd. „Śląsk”, 620 zł. Zbiór opowiadań pisarza rosyjskiego (1884—1943), zmarłego na zesłaniu, który w pomieszczonych tu utworach opisuje życie kolonistów zesłańców.

(z)

SPÓŁKA Z O.O. „CONTACT”

OFERUJE

- magnetowidy
- kamery video
- telewizory kolorowe (firm zachodnich)
- kasety video i magnetofonowe
- komplety kabli video
- kserokopiarki
- kalkulatory
- profesjonalny sprzęt fotograficzny
- sprzęt komputerowy
- radiomagnetofony, wieże i inny sprzęt audio.

JESTEŚMY W STANIE ZREALIZOWAĆ
KAŻDE ZAMÓWIENIE
WYSTAWIAMY RACHUNKI

BIAŁA PODLASKA, ul. 1 Maja 1, telefon
363-63, tlx 863432

454/K-5



CZWARTEK 26 STYCZNIA

PROGRAM I

8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie” (9)
10.15 Domator:
10.55 Domator: Kładziemy boazerię (1)
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Radar — wojskowy magazyn filmowy
16.25 Dla młodych widzów: Kwant
17.15 Teleexpress
17.30 Wojskowy program publicystyczny
17.55 Krajobraz Polski — „Ustka” — film dok.
18.20 Sondaż Fala
18.50 Dobranoc: Pająk chwyt, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” (9), „Zły duch” — serial krym. prod. ang.
20.55 Pegaz
21.55 Wokół wielkiej sceny
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język francuski (13)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (13)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci: Konflikty — dlaczego się nie uczysz?
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 Muppet show: Bernadette Peters
19.30 Puls — choroby reumatyczne u dzieci
20.00 „Lepsza nam kula” — Powstanie Styczniowe w poezji i pieśni
20.30 Muzyczny portret — Halina Czerny-Stefańska
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 Studio teatralne Dwójki: Samuel Beckett „Ostatnia taśma”
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Warszawskich Spotkań Teatralnych

PIĄTEK 27 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Zona dla Natolki” — odc. 2 filmu prod. ZSRR
15.50 Program dnia i Dt — wiadomości
15.55 Inter sygnał
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Program publicystyczny
18.10 Skarbiec
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Kino muzyczne Lucjana Kydryńskiego: „Hair” — musical prod. USA; reż. Milos Forman
22.10 Czas
22.45 Szkoła mistrzów — Andrzej Wajda
23.00 Dt — echa dnia
23.15 Superwizja

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzroczkowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” — odc. 4 pt. „Powrót” — serial TVP
19.30 Dookoła świata: W Korei
20.00 Zaczarowana dróżka — program poetycki
20.40 Brawo dla Ewy Michnik
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 Portret artysty: Get
22.10 „Małżeństwo po włosku” — film fab. prod. włoskiej. Reż. Vittorio de Sica.
0.10 Komentarz dnia
0.15 Studio Warszawskich Spotkań Teatralnych

SOBOTA

28 STYCZNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży; „Fraggles” — film prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.05 Zdrowie — wojskowy magazyn publicystyczny
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.35 Telewizja prowincja: Goleniów
13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Ivan Vyskocil — „Bracia syjamscy”. Reż. Zygmunt Hübner.
14.00 Pieprz i wanilia
14.50 Komedie: „Irena do domu” — film prod. pol.
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Flesz — program muzyczno-informacyjny
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Teatrum wiele tu może uczynić” — film o Wojciechu Bogusławskim
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka
19.10 Z kamera wśród zwierząt: Z Wrocławia do Rzymu
19.30 Dt
20.05 „Wielki Szu” — film fab. prod. pol. Reż. Sylwester Chęciński.
21.45 Tydzień w polityce
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 „Ciała i dusze” — śpiewa „Spectrum”
22.45 „Szalaństwa Maxa”
23.00 Dt — wiadomości
23.05 Jutro w programie
23.10—1.10 Kino sensacji: „Przełomy Missouri” — film fab. prod. USA

PROGRAM II

11.55 Trzy godziny z Telewizją Katowice
14.55 Powitanie
15.00 Małe kino: „Oczyrna Buddy” — film dok.
15.30 „5 — 10 — 15”
17.00 „U Hensona” — film dok. prod. ang.-holend.
18.00 TV Panorama Lubelska
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.10 Oczarowanie — reportaż z wyborów Miss Moskwy
19.30 Podróż sentymalna — reportaż o światowej sławy architektce Stefanie du Chateau
20.00 „Dwunasta noc” — film baletowy z udziałem leningradzkiego Teatru Baletu Współczesnego
21.30 Panorama dnia

21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 „Raj odłożony na później” — odc. I pt. „Śmierć świętego” — serial prod. ang.
23.10 Komentarz dnia
23.15—23.45 „W labiryncie” — powt. odc. 4 pt. „Powrót”

NIEDZIELA 29 STYCZNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” (15)
10.30 Dt — wiadomości
10.35 Kraj za miastem
11.05 „Najstarszy testament” — odc. 2 pt. „Genesis” — film dok.
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.30 Marek Sierocki zaprasza
13.10 Teatr dla dzieci: Bajki pana Perrault — „Kopciuszek”
13.50 Portrety: „Grande Educator — Ignacy Domeyko”
14.50 Morze — program publicystyczny
15.10 „W kamiennym kręgu” — odc. 60 i 61
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport: MS w kolarstwie przełajowym
18.10 Gdzie są taśmy z tamtych lat
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.00 „Tyłko Manhattan” (4) — serial prod. USA
21.00 Sportowa niedziela
21.50 Siedem dni na świecie
22.00 Magdalena z Kossaków (6): „Tatko”
22.15 Telewizyjny film dokumentalny: „Tajemnica piękna Japonii”
23.05 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.10 Dt — wiadomości
23.15 Jutro w programie

PROGRAM II

9.55 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.30 „Tyłko Manhattan” (4) — serial prod. USA (dla niesłyszących)
11.25 Krótkoformalowy
11.55 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino rodzinne: „Autostada do nieba” (8) — serial przygodowy prod. USA
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy” — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Pierwszy raj” — odc. 2 pt. „Zniewoleni bogowie” — serial dok. prod. ang.
15.35 Jan Sibelius — Koncert skrzypcowy d-moll op. 47. Wyk. Orkiestra Filharmonii Narodowej w Krakowie, dyr. Krzysztof Penderecki
16.10 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.25 Kalejdoskop filmowy „Kino-Okno”
17.15 Aktualności kulturalne: Muzyka centrum — muzyka świata
17.30 Bliżej świata
19.00 Goście Daniela Pasenta
19.30 Galeria 37 milionów: Malarstwo Tadeusza Dominika
20.00 Studio Sport: Ring — magazyn bokserski
21.00 Między wspomnieniem a nadzieją — spotkanie z prof. Grzegorzem Biłkowskim
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 „Dyrektorzy” — odc. 4 pt. „Wieczny zastępca” — serial prod. TVP
23.10—23.15 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 30 STYCZNIA

PROGRAM I

16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Na scenie — „Bajm”
16.25 Echa stadionów
17.15 Teleexpress
17.30 Śladami Louisy Arner Boyd — film dok.
17.55 Kino Teleferii: „Przyjaciel wesołego diabła” (1) odc. serialu prod. pol. pt. „Latające niedźwiedzie”
18.30 Laboratorium: „Si”
18.50 Dobranoc: Latająca żyrafa.
19.00 10 minut
19.10 Telespotkania. Przebudowa i religia — mówi Czyniz Ajtmatow
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji. Pierre Corneille „Iluzja” — reż. Krzysztof Gordon
21.30 Spóźnieni — reportaż
22.00 Życie niesportowe — program rozrywkowy
22.25 Kobieta czy firma, czyli Galeria Grażyny Hasse
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język niemiecki (13)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (13)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
16.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Stypendyści Towarzystwa im. Fryderyka Chopina
20.00 „Pan magiczne nogi i inni” — film dok. z festiwalu czarnej kultury afroamerykańskiej
20.30 Osadźmy sami
21.15 Zamyślenia
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 Biografie: „Marcel Proust” — film prod. ang.
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Warszawskich Spotkań Teatralnych

WTOREK 31 STYCZNIA

PROGRAM I

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów” (1) — „Maar” — serial fantast.-nauk. prod. nowozel.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Biała wizytówka” (5) serial prod. polskiej
15.25 Kim być? — program dla piętnastolatków
16.00 Gazeta rolnicza
16.20 „Tajemniczy pan Duvalier” (2) — „Błyskawica” — serial prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Lex — magazyn społeczno-prawny
17.50 Kino Teleferii: „Przyjaciel wesołego diabła” (2) — „Piszczalka to ja” — serial prod. pol.
18.15 „Józef Haydn — temat z wariacjami” — film dok. prod. CSRS
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Śniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 Spóźnieni (2) — reportaż
19.30 Dt
20.05 „Biała wizytówka” (5) — Ślub przed pałacem” — serial prod. pol.
21.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu

21.25 Gwiazdy jazzu. Miles Davis cz. 1
22.05 Sprawa dla reportera
22.45 Wódka pozwól żyć...
23.15 Dt — echa dnia
23.35 Język angielski (13)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (13)
17.25 Program dnia
17.30 „Wielka epoka” — film dok. produkcji włoskiej
18.00 Program lokalny
19.30 „Krzyż Grunwaldu” — film dokumentalny
18.55 Posiady, czyli... góralski cocktail
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Non stop kolor — „Sting” (2)
21.00 W cieniu historii. Depozyt nr 43 (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 Adaptacja opowiadań Guy de Maupassanta „Spadek” — film fab. prod. franc.
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Warszawskich Spotkań Teatralnych

ŚRODA 1 LUTY

PROGRAM I

8.25 Domator: Szkoła dla rodziców
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Piłsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnice wygasłych wulkanów” (2) — „Wulkan Rangitoto” — film fantast.-nauk. prod. nowozel.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Spotkania na lotnisku” (1) — „Podejście do lądowania” — serial obycz. prod. NRD
11.15 Domator
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.05 W świecie ciszy — program rozrywkowy
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia (1) — program restrykcyjny celnych
17.50 Kino Teleferii: „Przyjaciel wesołego diabła” (3) — „Magiczny kryształ” — serial prod. pol.
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX wieku
18.50 Dobranoc: Miś Uszatek
19.00 10 minut
19.10 Spojrzenia (2)
19.30 Dt
20.05 „Yesterday” — film fab. prod. pol.
21.35 Klub Międzynarodowy
22.05 Telewizyjny informator wydawniczy
22.25 Spojrzenia (3)
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język rosyjski (14)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (14)
17.25 Program dnia
17.30 Magazyn „102” — wydanie specjalne
18.00 TV Panorama Lubelska
18.30 Polacy: „Irena Eichlerówna” — film dok.
19.30 Wędrujący teatr — Centrum Edukacji Teatralnej w Gdańsku — reportaż
20.00 Mistrzowie wiolinistyk — Kaja Danczowska
20.50 W 140 rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego
21.30 Panorama dnia
21.45 Ankieta Ireny Dziedzic
21.50 „07 — zgłoś się” — „24 godziny śledztwa” — serial prod. pol.
22.50 Telewizja nocą
23.35 Komentarz dnia
23.40 Studio Warszawskich Spotkań Teatralnych

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlu czuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska (korekta), Barbara Caban, Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela oddział Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409. Zam. 104. 13.01.89. B-4.

POLSKA NORMA

HE-MAN, SYN STALINA

Waldemar Piasecki

MOJA żona, Anna zabroniła oglądać serialu „He-man” naszemu synowi, Igorowi. Zakaz okazał się nieskuteczny, jego motywy są jednak warte uwagi. Otóż, zdaniem małżonki, film ma wredne przesłanie, pointowane w zakończeniu każdego odcinka okrzykiem głównego bohatera: „Mam władzę!”. Taki komunikat semantyczny, poparty wcześniejszymi wyczynami He-mana (z angielskiego: hero — bohater, man — człowiek), spełnia wszelkie wymogi adekwatności i skuteczności. Po prostu — działa. Co istotne, działa w sposób zamierzony, bowiem mojemu synowi oraz jego kolegom nie imponuje, powiedzmy, miecz, którym superman zaprowadza ład, a właśnie komunikat końcowy.

Komunikat ten znany jest w naszej historii najnowszej dobrze, zwłaszcza zaś latom określanym jako epoka stalinowska, co w Polsce umiejscawia się pomiędzy rokiem 1949 a 1956. Nie do końca chyba słusznie, bo po raz pierwszy okrzyk: „Mam władzę!” owa władza wydała w 1946 roku, pozbawiając obywatelstwa kilkudziesięciosobową grupę generałów i wyższych oficerów, bohaterów II wojny światowej, którzy dość „niefortunnie” wybrali sobie szlak bojowy. Okazało się otóż, że Anders, Maczek, Sosabowski i inni są to po prostu zdrajcy, renegaci oraz zaprzańcy, niegodni legitymowania się swoją polskością.

W latach następnych komunikat był powtarzany często i głośno, przy czym jego głównym nośnikiem były siły opresyjne, które później (i przez krótko) nazywano w partyjnych ocenach i rozliczeniach — stalinizmem i beriowszczyzną, zaś wśród ludu po prostu — ubecją. Dość, powiedziałbym, dosadnie, choć nie do końca chyba adekwatnie.

Zabieg ustanawiania właściwych relacji pomiędzy podmiotem, a przedmiotem władzy polegał na jasnym określe-

niu ról. Wiadomo było, kto kogo sprowadzi do parteru (lub jeszcze niżej) i kto będzie wydawał na koniec wiadomy okrzyk. Konstruowanie tego porządku nie dotyczyło wyłącznie związków przyczynowo-skutkowych typu: kto ma więzienia, a kto jest do posadzenia w tychże. Stalinizm sączony był w tkankę naszej rzeczywistości bardziej subtelnie i powszechnie. Jego wiernym odbiciem stała się administracja z jej przepisami,



Rys. Arkadiusz Derecki

dokładnie określającymi, kto ma władzę, oraz całą przebogata sfera zachowań społecznych, kreowanych przez przepisy prawne i administracyjne. Według zasady: „każdy może być przestępcą” oraz innej, bardziej już przależnej: „ten ma rację, kto ma pieczęć”.

Może ktoś powiedzieć, że piszę tu o ogólnych prawidłowościach biurokracji, lecz wówczas trzeba zdefiniować, czym jest biurokracja. Czy produktem niewydolności organizacyjno-informacyjnej, czy przeniesieniem ideologii zniewolenia

na sferę kontaktów obywatel — władza (urząd, administracja)? A to w gruncie rzeczy prowadzi do uchwycenia tej subtelnej różnicy pomiędzy parkinsonizmem, a stalinizmem, której nie chciałbym umieć zagrać nie tylko na skrzypcach, ale żadnym innym instrumencie. Jest bowiem różnica pomiędzy urzędnikiem Johnem Smithem z powiatu w hrabstwie Yorkshire, który mówi, że niestety nie ma do przekazania pomyślanej wiadomości petentowi, bo nie nadeszły jeszcze z Londynu (mimo iż upłynął tydzień) wymagane dokumenty oraz referentem Janem Kaciubą, który w gminie Wólka Krzymowska wywala za drzwi chłopca, który śmiał się przypomnieć w sprawie próśby do ministerstwa, którą wysłał był pół roku temu. Być może ma to jakiś związek z tym,

prostu zgroza i zastanawiam się czy nie jest to zadanie bardziej karkołomne niż wydzwignięcie Polski z kryzysu. Ponadto życie w krainie, gdzie niemal każdy może znaleźć tytuł do wydania okrzyku „Mam władzę!” pełni również swoje funkcje psychoterapeutyczne. Pomiarz z CPN nie należy kierownikowi sklepu mięsnego, bo ten mu nie odłożył szynki. On władzę — ma, ten drugi — miał. W swoim miejscu i czasie. Po prostu władza nad kimś jest nam potrzebna do życia, bo taką władzę ma ktoś nad nami. I nie jest to żadna cienka aluzja. W tej materii można uznać, że władza jest powszechnie dostępna i w zasadzie leży wszędzie. Trzeba tylko ją dostrzec i zastosować.

He-manizm nasz codzienny jest w zasadzie zajęciem dość bezpiecznym, bowiem w sytuacji zagrożenia integralności naszego państwa można odwołać się do wyższego autorytetu. Sekretarz instancji partyjnej może zawsze powiedzieć, że kazał ganiać dyrektorowi „Polmosu” z wodą na swe pokoje dla wyższych racji (była potrzeba polityczna). Począta zaczyna liczyć nową stawkę za telefony bez uprzedzenia, bo ma nie tylko władzę, ale i monopol. Poza tym ona chciała dobrze: przysporzyć nowych środków, uszczuplić nawis. Urzędnik fiskusa w życiu nie ujawni zasad opresyjnego wyliczenia podatku, po stwierdzeniu nieprawidłowości u rzemieślnika, bo to jest rzekomo tajemnica. Władzy. Szef redakcji wykreśli z wypowiedzi znanego naukowca zdanie o tym, że w referendum będzie głosował na jedno z pytań „nie”, nie uprzedzając go o tym, bo ma władzę płynącą z politycznej „mądrości”. Fakt, że cała impreza zostanie potem oceniona (także przez władzę, choć w nowej konfiguracji), jako nieudana — pozostanie już tylko drobnym niuansem.

Szczerze powiedziawszy, nie wiem jak wychodzić z he-manizmu. Pociesza mnie fakt, że nie tylko ja tego nie wiem. Może po prostu trzeba zacząć od siebie i swoich najbliższych. I lać gówniarza w dupę, gdy wrzeszczy na klatce schodowej „Mam władzę!”, a telewizor natychmiast wyłączać, gdy znów pojawi się na ekranie nasz bohater He-man. He-man, syn Józefa Wissarionowicza.

PS. Jak się dowiadujemy, TVP zapowiedziała emisję nowej serii przegód naszego „bohatera”.

KUCHNIA MAŁOPOLSKA

CNOTA W ŚWIELE STATYSTYKI

Janusz Malinowski

KILKA dni temu oddałem do naprawy telewizor, miał bowiem tę wadę, że gdy obraz był dobry, to coś strasznie warczało, przy prądowej natomiast fonii na ekranie pojawiały się tylko poprzeczne paski. Mówiąc lapidarniej: co innego było słychać, a co innego widać. Znajomy radiotechnik poklepał mnie przyjacielsko, obiecał zająć się aparatem jak swoim własnym, powiedział, że w gruncie rzeczy to drobiazgi i kazał zatelefonować nazajutrz.

Zatelefonowałem.

— Wie pan, dziwna rzecz — powiedział pan Krzysio — ale nie mogę w tym pańskim pudle złapać fazy. Niech pan zadzwoni jutro, myślę, że dam radę.

Zadzwoniłem.

— A niech to cholera — pan Krzysio był wyraźnie podenerwowany — nic z tego nie wychodzi. To jest telewizor zbudowany na sygnał zachodni, bez możliwości regulacji, bo tam nie potrzeba. Ale u nas tak nadają, że fonia z wizją się rozjeżdża. Niech pan to pudło opchnie i kupi jakiś krajowy...

Ledwie odłożyłem słuchawkę, złapałem ją panowie, gotów telefonować z protestem do centrum nadawczego, gdy nagle uswiadomiłem sobie, że przecież telewizja sama nie tworzy rzeczywistości, ale odzwierciedla tylko życie w kraju. Myśl ta wstrząsnęła mną tak dogłębnie, że złapałem kurtkę i poleciałem do miasta sprawdzać, co słychać, a co widać.

W pierwszym napotkanym barze zobaczyłem na bufecie kartkę: „Piwa brak”. Zapytałem barmana, czy to prawda, i odetchnąłem z ulgą. Rzeczywiście piwa nie było. Wychodząc z baru, przypomniałem sobie, że słyszałem rano w radio o strasznych kolejkach w PKO, gdzie wszyscy naraz chcą wpłacić po pięćdziesiąt tysięcy, aby wygrać pięćdziesiąt milionów. Poszedłem więc do PKO i sprawdziłem. Faktycznie, kolejka falowała, ludzie cisnęli się do okienek jak po bezkartkowe nóżki na galarecie, urzędnikom rozgrzewały się w rękach długopisy i puchły od liczenia banknotów palce.

Podobnie prawdziwe okazały się też „kolejkowe” wiadomości o włamaniu do osiedlowego sklepu, podwyżce cen cukru i o niegodnym z planem kurso-

waniu autobusów linii 2 oraz 6. W ten sposób moja fatalistyczna i dekadentka teoria wzięła jakby w łeb. Znacznie więc już spokojniejszy co do losów kraju (telewizor przy tym to blachostka) wziąłem do ręki gazetę i przeczytałem z niej informację Polskiej Agencji Prasowej pt. „Miniony rok w statystykach celnych”.

Z krótkiego antykaliku dowiedziałem się m.in., że liczba „zaimportowanych” indywidualnie w ub. roku samochodów była trzynastokrotnie większa niż rok wcześniej, suma cel wywozowych wzrosła trzykrotnie, a przywozowych — dwakroć. Władze zaniepokojone są nasilającym się nielegalnym wywozem dzieł sztuki oraz zabytkowych przedmiotów, zwłaszcza przez tzw. przejścia samochodowe, gdzie nie ma specjalnych urządzeń do prześwietlania bagaży.

Po tej, istotnie statystycznej części publikacji nastąpiła jakby rekapitulacja, będąca refleksją rzeczownika prasowego Urzędu Cel, pana Zygmunta Jończyka. Otóż — zdaniem pana rzeczownika — praca urzędów celnych uległa dalszej poprawie, o czym świadczyć ma zmniejszająca się wciąż liczba skarg kierowanych przez podróżnych do GUC. W 1988 roku było takich skarg 90, rok później — 68, zaś w minionym roku — tylko 53. W dodatku, w ocenie GUC, zaledwie 10 proc. skarg okazuje się słusznych, czyli, statystycznie biorąc, tylko pięć razy w całym 1988 roku zdarzyło się polskim celnikom nadużyć swojej władzy, lub nieodpowiednio się zachować.

Ta ostatnia wiadomość nie tylko jest wielce krępująca, ale nadaje się wręcz do księgi Guinnessa jako światowy rekord cnotliwości i bogobojności urzędników państwowych w ogóle. Podbudowany nią powinien być nie tylko pan rzeczownik GUC, ale także sam premier, który publicznie w telewizji zapowiedział bezwzględna walkę z korupcją. Okazuje się bowiem, że przynajmniej „na odcinku” celnym ewentualne brygady antykorupcyjne nie będą miały roboty.

Dzięki nauce zwanej statystyką obalono mit o zachłanności niektórych przedstawicieli służb celnych. W świetle statystyki jest wykluczonym, aby coś takiego w ogóle występowało. Nieprawda więc, że większość szmuglerów płaci haracz niemal według cennika, że również przy przywozie olbrzymich pak z towarami tureckimi czy tajlandzkimi można za konkretną opłatą uzyskać „zaniechanie” złośliwości tego faktu izbie skarbowej. Nieprawda, że istnieją „bezdebyty i prohibity”, a o tym, co jest czym, decyduje „wizymisję” urzędnika. Nieprawda, że GUC jest arogancką i na pytanie: co się dzieje na przykład z zatrzymanymi kasetami wideo? — odnawia, że regulują to przepisy wewnętrzne.

Wszystko to potwarz, ohydne kłamstwa, tendencyjne oceny i określona robota określonych sił. A jeśli komuś to, co widzi, nie pokrywa się z tym, co słyszy — niech zmieni telewizor.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

REPORTAŻE:

♦ O PREPARACIE PROF. TOŁPY
♦ O LECZENIU IMPOTENCJI ♦ O
BLASKU SREBRA ♦ O KLINICE,
GDZIE LECZY SIĘ CHORYCH NA
AIDS ♦ O BURZLIWYM ŻYWCIE
ŁOBODOWSKIEGO ♦ O TESTAMEN-
CIE INDIAN ODNALEZIONYM NAD
DUNAJCEM.

ROZMOWY:

♦ Z EMIGRACYJNYM LITERA-
TEM, TŁUMACZEM DRAMATÓW KA-
ROLA WOJTYŁY ♦ Z EMIGRACYJ-
NYM UCZONYM, BADACZEM POL-
SKICH DZIEJÓW I POLSKIEGO CHA-
RAKTERU.

REFLEKSJE:

♦ O BADYLARZACH ♦ O KOLE-
GIACH ORZEKAJĄCYCH ♦ O SKU-
TKACH PLANOWANIA GOSPODAR-
CZEGO ♦ O PUŁAWSKICH ZBIO-
RACH CZARTORYSKICH ♦ O PO-
WODACH, DLA JAKICH NIE LUBIMY
RADZIECKIEGO FILMU ♦ O DZIE-
JACH STAREGO TEATRU W LUBLI-
NIE.

RECENZJE:

♦ Z PRZEDSTAWIENIA OPARTE-
GO NA TWÓRCZOŚCI B. MADEJA
♦ Z NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI T. KON-
WICKIEGO ♦ Z PRZEDSTAWIEŃ W
LUBELSKICH TEATRACH.

PAMIĘTNIK: „OD ŁĄGRÓW KO-
MI DO WINNIC ITALII”

INFORMACJE O PRZEDSTA-
WIENIACH, KONCERTACH I WYSTA-
WACH.